Nr. 3 (1203). Warszawa, 3 (16) Stycznia 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Upominek noworoczny.

Rzadko kiedy zdarza się czytać, nawet we Francyi, gdzie zawiść kwitnie, a intryga polityczna na przeciwników stale używa błota, artykuł dziennikarski przeciw ministrowi tak ostry, zjadliwy, tak wprost wołający: „Wynoś się precz," jak obecnie, w *Reichswehr*, w jednym z numerów z przeszłego tygodnia wydrukowany podjazd przeciwko p. Gołuchowskiemu. Dość tylko wymienić ten tytuł, aby wiedzieć, kto jedzie i kogo miał za sobą, gdy napadał. Dziennik prowadzony wogóle rozsądnie, bez centralistycznych zachcianek, z nieuniknionym tylko dynastyzmem i austryactwem, jest organem wyższych oficerów armii austryackiej, zabawiających się z zasady w politykę. Zabawka w tym razie jest strzelaniem z rzeczywistego karabina rzeczywistemi kulami do nienawidzonego ministra. Nienawidzą go zaś owe wyższe sfery wojskowe za to, że im nie pozwala pogalopować na półwysep Bałkański i odegrać roli godnej wielkiej armii, wielkiego mocarstwa. Tylko jego tchórzostwo, tylko niemoc jego umysłu i charakteru skazują całą masę bohaterstwa utajonego w austryackiej piersi na zjełczenie. Gdyby na Ballplatzu mieszkał kto inny, niewątpliwie byłoby inaczej: sztandary austryackie powiewałyby już nad Wardarem, a działa austryackie zmiatałyby Turków i nie-Turków, Albańczyków, nie-Albańczyków — wszystkich stawiających opór, jak zeschłe liście jesienne.

Artykuł, zrobiony przez dobrego majstra, prawdopodobnie najętego z pomiędzy cywilów, — gdyż owi panowie ze sfer wyższych, z wyjątkiem nielicznych istotnie poważnych, lepiej władają taliami kart do gry, niż piórami do pisania—pałaszową swą butę wojskową i nienawiść polityczną osłania w ironią, ośmieszającą osobę, pomijając zupełnie podmiotowe rozprawienie się z przeciwnikiem choćby najmarniejszymi argumentami. Ogólniki, które niby mają piętnować p. Gołuchowskiego, jako złego ministra, są czczymi frazesami. Najpierw więc ubolewa *Reichswehr*, że Austrya jest niby wielkiem mocarstwem, a wielkości jej wcale nie widać, ani na Bałkanach, ani na żadnym innym punkcie ziemskiego globu. Inni rozstrzygają sprawy świata; Austrya patrzy na to z założonemi rękami. Minister grozi i Turkom i Bułgarom, wodą not swych gasi ogień powstania, wystawia się tylko na szyderstwo ze strony państewek bałkańskich. Po odwiedzinach hr. Lamsdorffa w Wiedniu zapowiadano czyn: zrobiono nowe noty. „Gdy śniegi stopnieją" — obiecywano dawniej: śniegi topniały, a nic tężała nigdy rozpływająca energia ministra spraw zagranicznych. P. Gołuchowski napłodził dużo not w zalążkach. Dopomogły mu jeszcze śniegi spadłe w górach — i znowu nic, ale znowu obiecanka: „gdy śnieg stopnieje." I tak w kółko.

P. Gołuchowskiemu — ciągnie dalej organ niezadowolonych — tak dobrze jest na ministeryalnem stanowisku, że ministeryum uważa za swe dziedzictwo, widzi zaś, że aby się jak najdłużej utrzymać, powinien się jak najmniej ruszać. Dobrze się złożyło, że właśnie Rosya zajęta Japonią, nic myśli o działaniu na Bałkanach: może więc i p. Gołuchowski udawać, że nie ma tam żadnego interesu, któryby warto było poprzeć czynem. Takim jest ten minister, trzymający w swoich rękach ster polityki wielkiego mocarstwa, podobno pracowity, ale tem winniejszy, że i pracowity i niedołężny; jedno tylko rzeczywiście umie — oto codzień spacerować po Kohlmarkcie... Tak tedy powaliwszy niedołęgę, mąż silny zostawia go już na pastwę czytelnikowi.

P. Gołuchowski sam pewno najlepiej wie, że nie jest orłem; nikt też nie wyrządzi mu tej krzywdy, żeby mu miał przypisywać zdolności i powołanie na wielkiego ministra. Średnia siła, obyta z dyplomacyą, nazwisku ojca, stanowisku w arystokracyi nowszej daty, namiestnictwu ojcowskiemu, wreszcie konieczności zastąpienia bezzwłocznie Kalnokego zawdzięcza on swój dzisiejszy urząd. Kto inny od niego zdolniejszy lepiejby, z większą swadą i z większem teatralnem wrażeniem, wykładał stanowisko Austryi w świecie międzynarodowym, politykę na półwyspie Bałkańskim, stosunki z Rosyą — cały sposób i zakres, w jakim wielkie mocarstwo z wielkiej mocy swojej korzysta; ale na takim wykładzie wszystkoby się skończyło, geniusz poszedłby spać.

Rzeczywiście, trzeba było ziejącej nienawiści osobistej, aby na barki ministra — zdolnego czy niedołęgi, przejętego swymi obowiązkami, czy też trzymającego się tylko poły majestatycznego płaszcza — zwalać całą odpowiedzialność za tę niemoc, którą Austrya okazuje w sprawie bałkańskiej. Ktokolwiek do współdziałania z nienawiścią dopuściłby jeszcze rozsądek, pamięć i prostą, potoczną, co chwila w jednym kierunku podsycaną wrażliwość, ten nie mógłby takiej broni ukuć i pod takim sztandarem walczyć, pod jakim występuje *Reichswehr*. Mimowoli przypomina się historya koguta i deszczu: Austrya dlatego nie robi wojny, że p. Gołuchowski pieje

głe na pokój; gdyby nie p. Gołuchowski, dopieroby się rozpędziła i nie zatrzymała aż w Tessalonice. Cała zależność Austryi od Rosyi, w umowie z kwietnia 1897 roku, cała niepewność kierunku, w jakim powieje wiatr berliński, całe niebezpieczeństwo, na obecne czasy bardzo poważne, uwikłania się w walkę ze Słowianami i Bulgarami półwyspu, podczas interwencyi zbrojnej dla zbawienia Macedonii — wszystko to jest drobnostką, po której prawdziwy minister depcze i idzie dalej do wielkiego swego celu. Drobnostką jest tal : niegodną logicznego myślenia — to szarpanie się Węgrów z cesarzem austryackim i z Austryą, te zuchwałe bunty trzyletnich żołnierzy wysłużonych, to tamowanie biegu spraw sejmowych, te niezgody między Czechami i Niemcami na północy, między słowiańskiem a niemiectwem na południu, ta irredenta włoska — ta cała wojna domowa, choć nie prowadzona mieczem i karabinem, niesłychanie jednak rozrywająca spójnię wewnętrzną, osłabiająca nazewnątrz, przyćmiewająca nawet urok siły, a nietylko siłę samą. Wszystko to są drobnostki — jedyna przeszkoda rzeczywista tkwi w dzisiejszym ministrze. Prawdopodobnie partya oficerska ma juz nowego ministra w zanadrzu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejsza dziś sprawa na świecie, zatarg rosyjsko-japoński, znajduje się w trwałem, ostatnimi dniami jeszcze zaostrzonem, napręźeniu wojennem. Na żądanie Japonii poseł chiński w Tokio zatelegrafował do Pekinu o konieczności wojny. Zdaje się, że Anglia myśli o dopomożeniu Japonii przynajmniej samą obecnością floty na wodach domniemanego teatru wojny, d. 8 b. m. odpłynęła z Plymouth na Wschód eskadra z siedmiu wielkich pancerników bojowych i kilku krążowników, z zapieczętowanymi rozkazami. Balfour publicznie na bankiecie dał do zrozumienia, że Anglia spełni swe zobowiązanie względem Japonii. Podobno rząd w Tokio opracował memoryał dla mocarstw obcych o zatargu; rozesłanie go nie zmniejszyłoby naprężenia. W Tokio ciągle narady, a wychodzi z nich ciągle jedno: trzeba obstawać przy Mandżuryi. Odpowiedź rosyjska, doręczona d. 5 b. m., przeszła wprzód przez ręce admirała Aleksiejewa, namiestnika Dalekiego Wschodu, który od początku głosował za wojną, poglądu swego nie zmienił i obecnie nadał ostateczną redakcyę nocie hr. Lamsdorffa. Minister japoński Komura ustnie już oświadczył, że Japonia trwa na zajętem stanowisku. Odpowiedzi urzędowej, piśmiennej spodziewać się można w przyszłym tygodniu. Francya wysyła na Wschód okręty bojowe. Cesarz Wilhelm przyrzekł neutralność.

P. Combes miał w Paryżu d. 11 b. m. wielką mowę głównie w obronie swej polityki przeciw duchowieństwu, ale i za rzecząpospolitą przeciwko prawicy, z po za której wychyla się restauracya monarchiczna.—D. 12 b. m. otworzono obie Izby; po Bourgeois Izba deputowanych wybrała na prezesa Brissona; wiceprezesami Etienne, Lockroy, Gerville-Reache, Guillain. Głosów: 255 (prawica się usunęła, a nie wszyscy socyaliści dali głosy przychylne) 405, 269, 255 i 254. W senacie, prezes ze starszeństwa, „ojciec konstytucyi," Wallon, wygłosił na powitanie piorunującą mowę przeciwko polityce Combes'a.

W Serbii kilku oficerów z zamachu — aż wylosowano do wydalenia. Maszin został generałem, zdał dowództwo dywizyi i wyjechać ma za granicę. Europa wywiera ciągły nacisk. Od bieżącego tygodnia niema już ani jednego posła w Belgradzie. Król Piotr ma prawo drżeć o swoje życie, a ma znowu obowiązek dbać o Serbię i jej stosunki zewnętrzne.

W Macedonii rozpoczęła się ruchawka. Turcya ściąga nowe wojska. P. Gołuchowski w delegacyach znowu wierzy w reformy i spodziewa się pokoju.

W Bułgaryi nagła zmiana wszystkich oficerów dworskich; prawdopodobnie jakiś spisek wykryty.

Stany Zjednoczone gromadzą coraz więcej wojska na Przesmyku. Traktat z Chinami o otwarcie Mukdenu i dwu innych miejscowości w południowej Mandżuryi otrzymał już ratyfikacyę chińską; wzajemna wymiana w Waszyngtonie. Traktat handlowy Chin z Japonią ratyfikowany d. 11 b. m. w Pekinie.

Na S. Domingo w rzeczypospolitej tej nazwy nowa rewolucya. Toż samo w Urugwaju. Rzeczp. argentyńska sprzedała Japończykom dwa wielkie pancerniki z Genui. Chili ofiarowuje całą swoją flotę opancerzoną, podobno 5 wielkich zbrojnic.

Anglicy pod gen. Egertonem już w styczniu pobili w Tid-Balli w kr. Somalów „Szalonego Mułłę"; walczyli w 2,500 ludzi przeciwko jakoby 5,000 „derwiszów." Rzeź wielka: tysiąc zabitych i ranionych.

Papież nakazał kardynałom zbadać sprawę *veta*; kardynałowie już je przedwstępnie za bezprawne uznali; na przyszłość każdy kardynał, drepczący śladem ks. Puzyny, ściągnie na siebie ostrą karę. Tymczasem p. Gołuchowski dziwi się w delegacyach, jak można nie uznawać starodawnego prawa i pobudza Europę do bronienia go.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Nowe prawo o stowarzyszeniach. — Stanowisko reakcyonistów z *Dziennika Poznańskiego*. — Walka o księży. — Robotnicy z Królestwa i Galicyi w Prusach. — Artykuły posła Ledebour'a.

Projekt nowej ustawy o stowarzyszeniach, który ma być wniesiony przez rząd do sejmu pruskiego, zaalarmował całą polską opinię publiczną. I nic w tem dziwnego, gdyż nowa ustawa, nawet w tej swej części, która przy innych warunkach mogłaby wyglądać na ustępstwo duchowi czasu i bardziej postępowym żądaniom, jest wymierzona wprost i niedwuznacznie przeciwko Polakom.

Według obecnie istniejącej ustawy o stowarzyszeniach, zarządy tych ostatnich muszą pod karą doręczać policyi statuty i spis członków, a także komunikować jej o wszel-

CZESŁAW MECH.

ĆMY I KWIATY.

(Akwaforta)

(Dokończenie).

Czy znacie myśli śmiertelne?

Czy znacie ćmę-niszczycielkę bracji zasobnych, która pociemku zakrada się w bogate ulów krużganki, dobija pszczoły wzrokiem i cieniem, co spływa jej ze skrzydeł, miękich i ciężkich, jak ołów trumiennego wieka?

Straszne skrzydła! Niby dwa wielkie, w lód ścięte źródliska mroku bijące!

A na skrzydłach kilkoro plam trupiego jadu, zarysowanych w kształt czaszki!

Czy znacie ćmę, co w najtajniejszem dnie domów złotych wywierca gniazdo i wieczną zasadzkę?

A natenczas kwiat wszelki więdnie na łąkach w późnej tęsknocie za dźwięcznym pszczół polotem, gdy na plennikach sok żywny występuje w nadmiarze, gdy rosy przepełniają wnętrza złocone w ogniu słonecznem i, spływając, w prochu ziemnym grzebią dojrzałe opyły.

Tak nieraz serce w potoku łez gorących a wstrzymywanych długo do krwi się wypłacze i — zgaśnie.

O serca więdnące w pożądaniu!
O płaczu serdeczny!
O płaczu niewypłakany nigdy!

Nie wiem, czy wymówiłem słowo nieostrożne, czy podsłuchała we mnie głos przeczuć i myśli ciemnych, czy zobaczyła w niepojętych widzeniach miłości skazę na mojem sercu, czy może, wreszcie, noc powiedziała nam to samo. Mocniej przytuliła się do mnie i mówić poczęła ciszej, niż mgła na liście w kroplach spada — z liścia na liść — po kropli kropla—i coraz bliżej.

Nie wiedziałem, kto mówi: noc, czy moja kochanka.

Zapewne noc mówiła jej ustami:

„Uchodźmy stąd! Już późno. I ten szept straszny dokoła, jak szelest ziół zgorzkniałych i słonych na wydmie gdzieś piaszczystej nad martwem morzem grzechu-niedoli. To dusze płoną pod chłostą ulewy ognistej! To żrące pogorzelisk popioły sparły się nad nami w nieruchome obłoki ciemności — i, jak potop niszczący, rozpełzły się po ziemi, gdzie stąpić, gdzie wzrokiem sięgnąć! Uchodźmy stąd! A daj mi przedtem jedną gałązkę oliwną, jeden kwiat żywy, jeden wyraz mocy twórczej, wiosennej, zapowiedź odrodzenia jedną — jedyną!"

I urwała. A po chwili, kryjąc czoło w dłoniach, mówiła zwykłym już głosem:

Daj mi pęk kwiatów, jakich chcesz, jakie znajdziesz najbliżej, najprędzej. Niech wtulę twarz w zioła leczebne i upajające wonią, by poczuć w sobie dobry pocałunek życia, co po nocach o szczęściu śni nad krynicami wieczystych uzdrowień, a we dnie szczęściem oddycha. Niech oczy zapomną. Niech usta orzeźwią się w rosach i staną się zdolne do wezwań nieomylnych w godziny zmierzchem martwiące. Inaczej nie wyjdę stąd. Ćmy oślepiły nas — i mnie i ciebie, jedną z tych wielu par miłosnych, o których myślałeś przed chwilą, nie myśląc o nas. A przecież to wszystko jedno! A noc powtórzyła za nią te słowa: „a przecież to wszystko jedno"...

I rozjaśniła się we mnie tajemnica różnic przygodnych, którym dzień nadaje imiona o pustem brzmieniu, choć wszystkie są zarówno wyrazem mocy bezimiennej przeznaczeń.

Wracałem wzdłuż długiego parkanu, który oplotem stalowych łodyg kolczastych wrastał w tętnice mroków, przepełnione boleśnie i nabrzmiałe.

W ręku ściskałem pęk mokrych złocieni, czując, że jeszcze żyją, choć oderwane od ziemi, jak żyć mogą słowa niektóre, łkaniem wyszarpane z serca. Dlatego to kwiaty mają nieraz w sobie żywą moc poezyi— a może właśnie dlatego tylko — nie wszystkie słowa są bez znaczenia, a są i takie, co nigdy nie więdną i nawet plenią się na uprawnych zagonach miłości.

Wstępował we mnie pogodny spokój tych, którzy nie tracą nadziei lub odzyskują wiarę w święte posłannictwo współczucia, gdy nagle z za krat bramy bocznej doleciał mnie nowy szept, od innych straszniejszy, bo samotny, bardziej niż inne nędzny, bo pogardzony od wszystkich, wstrętniejszy, bo idący z topielisk brudu,

kich zmianach tak w statucie, jak i w osobistym składzie członków. Otóż, w projekcie nowej ustawy przymus ten ma być zniesiony. Ale to zniesienie wygląda bardzo podejrzanie, gdyż żądanie statutów, spisu członków i zmian w ich składzie pozostawia się do woli policyi. Oznacza to, że wszystkie stowarzyszenia, wrogie Polakom i wogóle rządowe będą mogły się rozwijać zupełnie swobodnie, gdy tymczasem organizacya opozycyjna i polskie po dawnemu zostaną narażone na szykany policyjne.

Ale ta część „reformy“ właściwie nic nie reformuje, przeto nie pogarsza przynajmniej opłakanego położenia. Inaczej jest z drugą częścią projektowanej ustawy z ustępem, dotyczącym zebrań publicznych. Ten dąży poprostu do zupełnego zatamowania polskiego życia publicznego, gdyż urzędnik dozorujący zebrania ma prawo rozstrzygać, czy zebranie może się posługiwać innym językiem prócz niemieckiego. W ten sposób według ustawy projektowanej, odbycie polskiego zebrania najzupełniej zależałoby od samowoli policyi, kierującej się daną z góry instrukcyą. Policyanci zawsze mogliby żądać, aby na zebraniach używano języka niemieckiego, gdyby zaś nie zastosowano się do tego żądania, poprostu rozwiązywaliby zebranie.

Samo brzmienie projektu rządowego nie jest dotychczas znane, ale urzędowe *Ber. Polit. Nachr.* podały w formie ogólnikowej jego osnowę. Stąd zaniepokojenie w obozie ludowym wogóle, polskim w szczególności. Organowi polskiego obozu reakcyjnego — *Dziennikowi Poznańskiemu* wyrwało się przy tej sposobności szczere słowo w sprawie tej ustawy, zupełnie odbiegające od opinii większości społeczeństwa, a charakteryzujące dosadnie przekonania naszych konserwatystów.

Dziennik Poznański oczywiście oburza się na projekt nowego prawa, ale widać, że czyni to jedynie ze względów przyzwoitości. W odpowiedzi na nowe prawo proponuje, ażeby Polacy wogóle nie odbywali zebrań. Wtedy „nie postępowałoby szybko „uświadomienie“ mas, ale nie młóciłoby się też na wiecach słomy, z czego jest tylko rozbrat społeczny i nienawiść piekielna, psująca cały charakter społeczeństwa.“

A więc intencye rządu pruskiego najzupełniej się zeszły z życzeniami naszych konserwatystów, bo przecież i rządowi chodzi głównie o wyplenienie tej „nienawiści piekielnej,“ jaką szerzy ruch ludowy, podniecany przez zebrania publiczne. Tylko rząd chce zapobiedz szerzeniu nienawiści do prusactwa ze wszystkiemi jego konsenkwencyami, gdy taki *Dziennik Poznański* upatruje w nowem prawie broń przeciwko budzącej się nienawiści do dotychczasowych powag w społeczeństwie polskiem.

Nie da się zaprzeczyć, że na przyszłość wpływ tych powag tradycyjnych — szlachty i duchowieństwa, jest dość poważnie zagrożony. Zwłaszcza przeciwko duchowieństwu budzi się coraz silniejsza reakcya w kołach ludowych, które w miarę wzrostu uświadomienia nie mogą nie widzieć, jaką jest jego rola wobec rządu. Ze względu na czysto rządowe stanowisko władzy duchownej odzywają się coraz częściej głosy, domagające się usunięcia kleru od przewodzenia narodowi w polityce. *Orędownik* wystąpił otwarcie z żądaniem, aby księży nie wybierano na delegatów powiatowych, gdyż rola ich w ciałach wyborczych sprowadza się do popierania wszelkiej reakcyi. Żądanie *Orędownika* spotkało się z fanatycznym protestem klerykalnego *Kuryera Poznańskiego*, który począł się rozpisywać o krzywdzeniu całego stanu duchownego i w zapale polemicznym dosiadł nawet konika rewolucyi francuskiej. W odpowiedzi na zarzuty *Orędownik* wykazał, że dla obu stron — tak księży, jak społeczeństwa będzie lepiej, jeśli się kler usunie od kierownictwa w polityce. Stosunek rządu pruskiego do pruskich biskupów jest dziś zupełnie dobry, z czego ci ostatni korzystają dla przeprowadzenia celów, mających na widoku utrwalenie katolicyzmu. Chcąc ułatwić sobie to zadanie, biskupi pruscy, nie wyłączając i ks. Stablewskiego, prowadzą politykę czysto rządową, księża więc muszą ze względów karności hierarchicznej ulegać temu prądowi i być ugodowcami. „Od tych biskupów oraz ich księży nie możemy się spodziewać, żeby na tych rozstajnych drogach stanęli po stronie polskiego żywiołu przeciw systemowi pruskiemu — mówi *Orędownik* — zepsuliby sobie cały obecny korzystny stosunek z rządem pruskim nie w naszych tylko okolicach, ale w całej monarchii pruskiej.“ *Orędownik* nie wysnuwa stąd, co prawda, konsenkwencyi, że w Niemczech interesy katolicyzmu i kościoła katolickiego znalazły się w sprzeczności z interesami narodowymi, ale konsekwencya ta staje się obecnie już jasną dla każdego — stąd niechęć do duchowieństwa, ogarniająca coraz szersze koła.

Niechęć ta jest obecnie nastrojem, z którego na razie nie wypływają jeszcze czyny pozytywne, jak tego dowodzą przeprowadzone już nowe wybory delegatów. Odbyły się w tym celu cztery zebrania powiatowe, na których wybrano trzech księży na delegatów, a jednego ludowca. W każdym jednak razie nie ulega wątpliwości, że liczba księży-delegatów w Księstwie zmniejszy się znacznie. Obecnie na 43 delegatów jest ich 13. Ogólnie przypuszczają, że po najbliższych wyborach nie będzie ich więcej nad czwartą część ogółu delegatów.

Świeżo ukazało się ciekawe dziełko dr. Fryderyka Stutzkego, poświęcone robotnikom polskim w Prusach, przybywającym tam z Królestwa i Galicyi. Stwierdzając brak robotnika na wsi, dr. Stutzke utrzymuje, że wszelkie środki przywiązania ludności włościańskiej do ziemi w Prusach, były bezskuteczne. Wychodźstwo ludności wiejskiej do miast i centrów fabrycznych trwa w dalszym ciągu. W r. 1871 w całych Niemczech ludność miejska wynosiła 36%, wiejska zaś 63%. W 1880 stosunek ten przedstawia się już znacznie korzystniej dla miast, gdyż ludność miejska wynosi 41%, gdy wiejska 58%. W dziesięć lat później ludność miejska stanowi już 47%. O rozmiarach wychodźstwa na obczyznę świadczą następujące liczby: od r. 1895 do 1900 wyszło z Prus Wschodnich 7,4% ludności, z Poznańskiego 7%, z Prus Zachodnich — 4,6% z Pomorza — 3,5%, ze Śląska — 1,4%. Z prowincyj, leżących na wschodnich kresach Niemiec, emigrują tak Niemcy, jak i Polacy, ale Niemcy w znaczniejszej liczbie pomimo wszelkich usiłowań rządu. Mało tego — na miejsce tak niemieckich, jak i polskich robotników, opuszczających prowincye wschodnie, przybywają polscy robotnicy zagraniczni. Aby zapobiedz zbyt wielkiemu napływowi robotników polskich do Prus zostało w roku

---

których noc nie odsłoni i ulewa ros cierpkich nie zmyje i nie zagładzi.

Więc szumi tylko: „czekajcie, czekajcie, aż pękną wrota żelazne.“

I czekają — w wieczory uciążliwe, w ranki znużone wyczerpaniem i schorzałe gorączkowym wysiłkiem ciała, które więdnie, i wysiłkiem duszy zwiędłej już dawno. A w dni majaczeń sennych jeszcze pragną, jeszcze, szepcząc, wyciągają ręce, jeszcze wpatrują się skruszonem szkliwiem wzroku w uchylone drzwi przejść bezpowrotnych. I słyszałem wołania zdyszane i zachrypnięte za kimś, odchodzącym w głąb parku:

„O chodź! Na jedną chwilę chodź! Na bardzo krótką chwilę — na ostatnią! To nic, że twarz mi zgniła! Noc wszystko zasłoni przed tobą. Nim usta się rozpadną, nim ostry żwir ciemności oczy wygryzać pocznie, będę ci rozkoszna, jak nikt przedtem mną i nikt na świecie. Bo wykochałam miłość ku tobie w najlepszych snach i na jawie bolesnej, gdy spiekła krew strzępami rwała się w sercu podczas nocy bezsennych i prężących się w męce oczekiwań. To nic, że czekałam zadługo! To nic, że zapóźno teraz!

Tylko niedolą zawiniłam przed tobą. Więc czemu odtrąciłeś mię? za co? Za co — w ostatniej chwili? Kochałam przecież. Później nie zobaczysz mnie nigdy. O chodź, o chodź!“ W tępych połyskach gazu, co niby zwilgłymi płatkami żółtego śniegu prószył z latarni, widziałem twarz strupieszałą i ciemną: Motyl choroby zjadliwy, rozciśnięty w plamy, tłustawe a bezkształtne, nad ustami drgał kurczowo od krzyku ust- pełzał po twarzy, wlokąc za sobą własne trzewia stęchłe. I już do oczu sięgał trzepotaniem sinych skrzydełek, i już podkrążał powieki, a jeszcze wstrzymał się na chwilę, uderzony wyrazem oczu, które miały w sobie coś z wyrazu dziecka: Jakiś smutek cichy, co nie opamiętał się w godziny męki straszliwej.

Jakiś lęk spóźniony i pokorny.

I błyski jakieś złote utęsknień za jasną porą życia, co minęła zawodnie utęsknienia, za wolnym oddechem serca, które dopala się we własnym ogniu.

Są oczy dziwne, jak gwiazdy z oddaleń niezmiernych świecące, gdy źródło blasków wyschnie.

Jest pamięć dobra i święta, co, idąc przez pustki zapomnienia, odnajduje światy dawno umarłe, z których wyszła i w które wraca z wygnania w chwili ostatniej.

Są uśmiechy, w których pamięć taka zastyga na ustach wykrzywionych topielca i w gasnących spojrzeniach ulicznicy upadłej, a więc zdeptanej niebawem gdzieś na chodniku kamiennym w pobliżu zamkniętej bramy.

I to jest najstraszniejsze ze wszystkiego.

Zbliżałem się do wyjścia w natężeniu ciekawości tragicznej, gdy niewiadomo, co gorsze: posiąść czy spłoszyć widzenie. Zapewne, wszystko jest równie złe w złej chwili. A kiedym podchodził, skoczyła na równe nogi, utkwiła wzrok gorejący w nieobjęte zaspy kurzawki mroków lotnej, choremi piersiami wtuliła się w wiązania krat, biła, szarpała przęsła żelazne okropną drgawką ciała, rozkrzyżowaniem ramion i jękiem.

A później wyczerpana już, wsuwała jeszcze ręce w przerwy pomiędzy tęgimi prętami wrót, chwytając mrok sypki garściami, jak ten, co tonąc czepia się oburącz chciwym uściskiem palców fali ostatniej — a ta nie zatrzyma się nawet — pryśnie goryczą pian — rozchichocze się klaskiem ziębiącym — i przejdzie, przejdzie...

I szły na nią fale ciemności.

Więc pochyliła się ku ziemi pod tym ciężarem nadmiernym, rosnącym wciąż w zimne zwaliska nocy, spłaszczyła się pokornie kulistym ruchem zwierząt w zagłębieniu ceglanych podmurowań bramy i jęła lizać, jak pies bezdomny, czy wypędzony z domu zasuwki i sztaby dolne.

Wtedy rzuciłem na nią pęk mokrych złocieni.

I zwiędły kwiaty — słowa zamarły na ustach i nie miałem nic, z czembym wrócił do mojej kochanki.

Czy znacie ćmę — niszczycielkę barci zasobnych?

A w odpowiedzi posłyszałem w parku szept, łkaniem wyszarpany z serca:

„A przecież to wszystko jedno...“

A noc słucha.

A gwiazdy wpatrują się ciekawie.

Niewstydliwe!..

1886 surowo zakazane sprowadzanie ich. Jednakże napływ ten jest wywołany tak nieubłagą koniecznością ekonomiczną, że rząd musiał ustąpić żądaniom właściciel wielkiej posiadłości ziemskiej i cofnął zakaz po czterech latach jego istnienia. Obecnie robotnicy zagraniczni muszą bezwarunkowo opuszczać terytoryum pruskie na 6 tygodni w roku, co ma zapobiedz ich naturalizowaniu się.

Po ogólnym zarysie kwestyi robotników zagranicznych w Prusach dr. Stutzke charakteryzuje stosunki, dotyczące wychodźtwa w poszczególnych prowincyach. W Prusach Wschodnich wychodzi rocznie około 30,000 ludności miejscowej, a przybywają robotnicy z Królestwa Polskiego, którzy pracują od kwietnia do listopada. Zarabiają, stosownie do pory roku, mężczyźni od 90 fen. 1,40 marek kobiety i wyrostki od 60 fen. do 1 marki. Artykuły spożywcze otrzymują w naturze, a koszt ich wynosi dziennie 45 fen. na osobę. Prócz tego każdy robotnik dostaje siennik słomiany i kołdrę wełnianą. Na koszta podróży od granicy dostają 3 marki na osobę. Z Pomorza wychodzi rocznie około 11,000 ludności, miejsce jej zajmują robotnicy z Królestwa i Galicyi od lutego. Wysokości zarobku w tej prowincyi autor nie podaje. Z Poznańskiego rocznie wychodzi około 50,000 ludności. Miejsce wychodźców zajmowali robotnicy z Królestwa i Galicyi — od początku marca. Zarabiają dziennie mężczyzni 1,25 m. — 1,50, m., kobiety 90 f. — 1,10 m. Każdy robotnik może wysłać w ciągu lata do domu co najmniej 150 marek. Robotnicy otrzymują darmo mieszkanie z opałem i światłem jakoteż sienniki słomiane i kołdry wełniane. Zrana dostają gorącą zupę, na obiad kartofle, warzywa strączkowe i ryż ze słoniną, wieczorem znowu zupę, prócz tego tygodniowo po 10 funtów chleba i ¼ soli i kawy. Na Śląsku ubywa ludności miejscowej około 30,000 rocznie. Dawniej przybywali prawie wyłącznie robotnicy z Królestwa, w ostatnich latach stopniowo zaczyna się wzmagać napływ robotników z Galicyi, Węgier a nawet Włoch. Zarobek dzienny wynosi dla mężczyzn od 90 fn. do 1 m., dla kobiet i wyrostków 70—80 fn., za nadzwyczajne roboty płaci się 10—15 fen. za godzinę dodatkową. Pożywienie jest wydawane według ściśle ustanowionej ugody przyczem gotowaniem strawy zajmują się kolejno żony robotników, za co dostają dzienną płacę od pracodawców. Także robotnica musi sprzątnąć mieszkanie na 30 ludzi.

Dr. Stutzke mówi, że robotnicy polscy są tańsi i ujawniają ogromną oszczędność i umiarkowanie w jedzeniu, nieraz prawie zupełnie odmawiając sobie mięsa. Podczas roboty rzadko kto pije, kobiety wogóle zachowują się bez zarzutu, pijaństwu, tak samo, jak złodziejstwu, oddają się tylko jednostki, które należy uważać za wyjątki.

Wielkie wrażenie wywołały dwa obszerne artykuły posła Ledeboura, zamieszczone w centralnym organie niemieckiej demokracyi społecznej, a zwrócone przeciwko antipolskiej kampanii p. Róży Luxemburg. Poseł Ledebour zadał sobie pracę napiętnowania wszystkich wybryków i oszczerstw tej intrygantki na podstawie ściśle sprawdzonych danych cyfrowych. Antipolskie wycieczki p. Luxemburg znalazły w pośle Ledebourze surowego i bardzo ostrego krytyka. Zarzuca on jej stałe i systematyczne okłamywanie niemieckiej opinii publicznej, rzucanie na prawo i na lewo kłamstw i oszczerstw i ubolewa nad tem, że wśród Niemców mogli się znaleźć ludzie, którzy w dobrej wierze popierają antipolskie usiłowania tej renegatki. Subsydyowanie świstka poznańskiego, redagowanego przez p. Luxemburg (*Gazeta Ludowa*) poseł Ledebour uważa za krok fałszywy i bezcelowy. Zdaje się, że opinia posła Ledeboura przeważy w najbliższej przyszłości w obozie jego przyjaciół niemieckich, gdyż p. Luxemburg swojemi histerycznemi wystąpieniami potrafiła pozrażać do siebie prawie wszystkich. Tak np. na Górnym Śląsku jej niedawni zwolennicy (Niemcy) nie chcą już słyszeć o żadnej wspólnej z nią pracy i otwarcie protestują przeciwko mieszaniu się jej do stosunków polsko-niemieckich.

Pośrednik.

O naszem zdobnictwie.

Mimo podobieństwa czcionek i papieru każdy naród ma swą odrębną literaturę, mimo podobieństwa płótna i farb ma swoje odrębne, jego historyi i kulturze właściwe malarstwo; dlaczegóżby więc zdobnictwo, w zastosowaniu do tego co jest nasze, co nas otacza, nie miało być prawdziwie polskie, choć z zagranicy sprowadzamy maszyny i korzystamy z jej wynalazków technicznych?

A tymczasem lud tylko w niektórych miejscach zachował odrębność swojej w tym kierunku kultury. To też niekiedy bardzo typowa świeżość ich sprzętów i odzieży ogromnie odbija na tle wielkomiejskich naleciałości.

Po za tem ogół korzysta z tego, czego mu dostarczyli cudzoziemcy. Właściciele fabryk objeżdżają co rok stolice europejskie, zakupując modele i rysunki. Czy to zapobiega sprowadzaniu wyrobów gotowych? Bynajmniej! Własne sklepy tych samych fabrykantów zawalone są wyrobami zagranicznymi.

Dopiero dzięki niezmordowanej pracy Witkiewicza i garstki ludzi, skupiających się dokoła niego, oraz wskutek zawiązania ostatnimi czasy „Tow. polskiej sztuki stosowanej w Krakowie" ożywił się nareszcie i u nas ruch na polu zdobnictwa swojskiego.

Gdzie jednak idzie nie o zadowolenie estetycznego smaku jednostek, lecz o nadanie całej naszej przemysłowo-artystycznej produkcyi nowego kierunku, tam pojedyncze zabiegi, choćby najenergiczniejsze, wiele zdziałać nie mogą. Jest to właściwie zadanie wielkiego przemysłu, świadomego celów obywatelskich i kulturalnych. Tymczasem dzisiejszy wielki przemysł nietylko wpływa zabójczo na inteligencyę i samodzielność pracujących w nim jednostek, lecz przyczynia się w wysokim stopniu do znieprawienia poczucia estetycznego całego ogółu.

Nasi przemysłowcy bowiem nie widzą nic po za własnym interesem.

Miałem sposobność poznać zdobny przemysł metalowy w Warszawie i w Galicyi więc, co wiem o nim, przedstawię tu, aby pracującym na niwie naszego zdobnictwa, dać jaśniejszy pogląd na sprawę współdziałania z wielkimi przemysłowcami.

Mimo ogromnego rozwoju podziału i specyalizacyi pracy, uważamy za rzecz zupełnie naturalną, by zakładami i fabrykami przemysłu zdobnego zarządzał niepodzielnie inżynier, lub kupiec. O tem, że częścią artystyczną w fabrykach takich powinien kierować artysta — nikomu się nie śni. Ponieważ taki kierownik — zazwyczaj sam właściciel — pomimo braku odpowiedniego uzdolnienia, jest nieograniczonym panem w fabryce, przeto, abyśmy mogli poznać, jak załatwia sprawy artystyczne, naszkicuję tu kilka typów takich właśnie kierowników wielkich fabryk warszawskich. Muszę tu podkreślić *warszawskich*, bo Galicya sąsiaduje tak blizko z zalewającymi ją wyrobami zdobnemi Czechami i Wiedniem, a w Poznańskiem rej wodzi ogromnie rozwinięty przemysł niemiecki, że jedynie o warszawskim przemyśle zdobnym mówić możemy.

Pewien kupiec, współpracownik fabryki szkła stanął, jako właściciel, na czele fabryki wyrobów metalowych. Fabryka była duża, zatrudniała przeszło stu robotników. Potem, jako wspólnik i współkierownik złączył się z nim człowiek także nie fachowy: handlarz naftą. Fabryka na tem nic nie straciła, zyskała młodszą i bardziej kupiecko wyrobioną głowę; liczba pracowników musiała być podwojona. Fabryka ta wyrabiała przedmioty niezbędnego użytku, poczynając od najtańszych do bardzo kosztownych. W tym zakresie nie miała współzawodnika, a wyrobami swymi zasypywała nietylko całą Warszawę i Królestwo, ale pootwierała filie w główniejszych miastach Cesarstwa.

A teraz zapytamy, czem się przysłużyła „naszej" sztuce zdobniczej, skoro podczas wieloletniego istnienia nie dała nigdy zatrudnienia choćby średnio wyrobionemu artyście? Jej kierownicy nawet elementarnych cech stylowych w wyrobach swych rozróżnić nie umieli.

Inny znowu właściciel i kierownik olbrzymiej fabryki wyrobów ze srebra i bronzu, nie posiadając ani poczucia, ani wyrobienia artystycznego, poprawiał Kurzawę w modelowaniu. Zapraszając znakomitego rzeźbiarza (a dziś profesora Akademii) do swojej fabryki na modelarza, proponował mu pensyę, równającą się wynagrodzeniu przeciętnego robotnika. Na tej posadzie, ulegając „estetycznym" zachciankom pana fabrykanta, trzeba było bardzo często nędznie modelowanemu amorkowi, sprowadzonemu z zagranicy, rączęta w tył zagięte podnosić do góry, Wenerę albo Ledę przerabiać na anioła itd. Słowem być „artystyczną" maszyną w ręku człowieku, który o sztuce nie miał najmniejszego pojęcia.

Jeszcze inny przemysłowiec, właściciel dużej fabryki, z zasady nie płaci za projekty rysunkowe, tylko za wykonaną już w materyale robotę, choć obróbka wyrobów u niego fabrykowanych jest minimalną, a oryginalność w kształcie i zręczność w konstrukcyi główną odgrywa rolę. Przyzwyczajony do kopiowania rzeczy przywiezionych z obczyzny nie może zrozumieć, że tam przecież za projekty płacą. Co rok jeździ po „nowości" za granicę, a potem taką nowość ćwiertuje na części i dodawszy do każdej z nich coś ze starych modeli, tworzy odrazu kilka „nowości." Na pierwszej warszawskiej wystawie „Tow. pols. szt. stosowanej" chciał urządzić swój pawilon z „polskiemi" ozdobami galwanoplastycznemi i okuciami do mebli, wśród których *ani jeden* (!) przedmiot nie był u nas wykonany.

Pewne towarzystwo akcyjne wyrobów metalowych dla poprawy swych interesów finansowych (może powiększenia dywidendy) zawezwało na stanowisko dyrektora olbrzymiej swojej fabryki handlowca, b. kierownika domu bankierskiego. Nowy dyrektor, zaczął robić oszczędności na wszystkiem, między innemi na wydatkach na rysunki i modele. Rządził w ten sposób lat kilka, a wypuściwszy w świat tysiące przedmiotów bardzo lichej wartości, ze stanowiska ustąpił.

Następca jego żywi bałwochwalcze uwielbienie dla każdej w cennikach wyrobów zagranicznych umieszczanej rzeczy „poważnej," a o swojskiem zdobnictwie słucha z uśmiechem pogardy.

Trzeba dodać, że jeśli tu i owdzie da się zauważyć jakaś skłonność do wykonywania rzeczy pięknych, to kierunku swojskiego próżnobyśmy w niej szukali. Wszelkie uwagi szczerze artystyczne zbywa się drwinkami. Los pracującego w fabryce artysty lub los projektowanych przezeń modeli zależy jak najściślej od osobistego kaprysu fabrykanta.

O ile każda gałąź sztuki jest sama w sobie odrębną i stworzenie dzieła zależy od dobrej woli lub mocy autora, o tyle dzieła sztuki zdobniczej w ten sposób powstawać nie mogą. Fabrykant, to cały przemysł! Jego chłodne: „nic zrobi się“ zamraża najoryginalniejsze projekty.

Czy wobec tego można mieć nadzieję, że panowie fabrykanci zechcą powyrzucać ze swych fabryk modele, z których już dziesiątki lat wciąż odlewają „nowości“? że przyjdą oni do artystów i w jakichś kulturalnych celach zechcą z nimi pracować? Nie! Ich do życia powołał *interes* i dla interesu tylko oni żyć będą. Przemysł artystyczny, który wraz z postępem technicznym powinien się rozwijać i duchowo, wyodrębnili oni i uczynili dojną krową zysku. Zmieniliby może kierunek bezmyślnego produkowania, gdyby publiczność okazała uświadomione żądania estetyczne. Czekać nam jednak wypadnie bardzo długo, zanim ta nasza publiczność zdolną będzie wywierać na przemysł jakiś nacisk w tym kierunku. Dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych byłoby to ogromnie wdzięczne pole do działania. Dwóch sztuk przecież niema: jest jedna dusza ludzka i jeden niezmierzony świat zjawisk.

Prasa u nas, jak dotąd, bardzo mało zajmowała się stanem naszego zdobnictwa. Oceny wystaw sztuki stosowanej pisane są najczęściej bez żadnej znajomości przedmiotu.

Nawołujemy do kształcenia młodych sił artystycznych w kierunku zdobniczym — od rzemieślników żądamy znajomości rysunku i jako tako już z tem idzie; ale czy wobec usposobienia, panującego w sferze, kierującej przemysłem zdobnym, ludzie ci nie będą musieli zatonąć w morzu bezmyślności?

Cała nasza praca artystyczna na polu zdobnictwa miałaby duże znaczenie, gdyby ją zechciał wcielać przemysł fabryczny. Drobne zakłady przemysłu artystycznego są moralnie, często nawet materyalnie zależne od wielkich fabryk, nie odgrywają więc poważniejszej roli w żłobieniu pojęć estetycznych wśród naszego społeczeństwa.

Ostatnimi czasy parę fabryk ogłosiło konkurs na projekty, z wyraźnem zastrzeżeniem dla nich charakteru swojskiego. Sądzićby można więc, że współdziałanie przemysłowców z artystami już się rozpoczęło; ale niestety, to tylko złudzenie. Konkursy ogłosiły firmy młode, wyrabiające się, a tym, jak wiadomo, zawsze idzie o reklamę. Znam nawet wypadki, gdzie o wykonywaniu wyrobów podług nagrodzonych na konkursie projektów wcale nie myślano, a wyrok sądu, który składali najwybitniejsi nasi artyści — przyjęto z niezadowoleniem, o nabyciu projektów wyróżnionych lub wogóle na konkurs nadesłanych — mowy nie było.

„Nieswojskość“ naszego przemysłu na zupełnem naśladowaniu zdobnictwa zagranicznego jeszcze się nie kończy. Przedmioty z metalu, sprowadzane z zagranicy na wzór, rozkręca się lub rozlutowywa na części, w ten sposób tworząc projekty gotowe nietylko w pomyśle, ale już wymodelowane i cyzelowane.

Rzeczy tak powstałe figurują często na specyalnych wystawach naszych, jako „wyrob swojski.“ Za granicą, aby się od podobnej grabieży uchronić, przemysłowcy modele swoje patentują. U nas zwyczaju tego niema, to też obawa przed grabieżą współzawodników bardzo często powstrzymuje naszych przemysłowców od „rujnowania“ się na modele.

Cóż tedy należy czynić, by z zaczarowanego koła pięknych projektów wyjść i duszę w ciało przyoblec?

Zdaniem naszem, sile *interesu* należy przeciwstawić siłę idei: *piękno!*

Należy w Warszawie założyć udziałową fabrykę polskich wyrobów metalowych. Sprzedając akcye po cenach przystępnych, możnaby je szeroko rozpowszechnić. Organizacyą tego przedsięwzięcia powinno się zająć grono artystów do spółki z rzemieślnikami. W fabryce takiej powinno się wyrabiać przedmioty najróżnorodniejsze, od najtańszych, do bardzo kosztownych. Dla powiększenia funduszów obrotowych i wydajności pracy należałoby robotnikom ułatwić zakup akcyj, dopuścić ich do udziału w zyskach i zarządzie. Kierunek kupiecki powierzyć zdolnym handlowcom, a kierunek techniczno-artystyczny — specyalnie utworzonej komisyi.

A jeśli nie da się założyć nowej fabryki, to możeby się udało złączyć w spółkę kilka już istniejących, drobnych zakładów artystycznych, takich naturalnie, któreby przyjęły zasadniczą myśl grupy artystów-organizatorów, tj. wykonywanie przedmiotów przeważnie o charakterze wybitnie swojskim. Dlatego *przeważnie* a nie *wyłącznie*, że zakłady takie, choć złączone ideą pracy w kierunku swojskim, nie mogłyby ze względów materyalnych wyrzec się zupełnie przyjmowania zamówień na wyroby nie z pięknem, ani z zasadniczą ideą organizacyi niemających wspólnego.

Rysunki i modele na wystawy należałoby zdobywać drogą konkursów, w czem zresztą Tow. Polskiej Sztuki Stosowanej w Krakowie mogłoby przyjść z pomocą, otwierając dostęp do zebranego przez siebie materyału motywów ludowych i pozwalając korzystać z doświadczenia i kilkuletniej swej rutyny. Warsztaty takiej fabryki (względnie zjednoczonych drobnych zakładów), zostające pod zarządem komisyi artystycznej, stałyby się szkołą, w której mogliby się kształcić rzemieślnicy nietylko fachowo-technicznie, ale i estetycznie.

Może to, co w Anglii zrobił jeden genialny człowiek — William Morris, u nas dałoby się zrobić grupie artystów, złączonych ideą piękna w jednym celu z rzemieślnikami.

Rynkiem zbytu na wyroby prawdziwie *swojskie* byłoby niewątpliwie całe społeczeństwo, ci wszyscy, którym nie jest obojętne wniesienie przez nas nowych form w zdobnictwie do ogólnego skarbca kultury.

Józef Gardecki,
cyzeler-rzeźbiarz.

GŁOS KABOTYNA.

Jeśli się nie mylę, p. Miriam, redaktor *Chimery*, kładąc po kolei na swem kolanie wszystkich naszych estetyków i otrząsając się wzgardliwie na całe społeczeństwo, nierozumiejące „prawdziwej“ sztuki,“ zawołał po raz pierwszy: „Ach wy, kabotyni!“ Odtąd szanowny twórca modernistycznej Apokalipsy, spełniający u nas w zakresie artyzmu przykazanie Nietzschego — *Umwertung der Werte* — przy każdej naganie powtarza: kabotyn! Co ten wyraz francuski znaczy dawniej wiedziałem: lichy aktor. Ale co on znaczy dziś po rozszerzeniu go przez p. Miriama — nie mogę odgadnąć. Raz bowiem wypada mi, że określa głupotę, drugi raz — klasycyzm, to znowu — G. Daniłowskiego, Tetmajera, Chmielowskiego, logikę, rozum, a nie zdziwiłbym się wcale, gdybym kiedyś odkrył, że tem mianem oznaczają się również wyspy Balearskie. Bo „kabotyn“ — niby sufragan z powieści Sienkiewicza—tak się podobał jako dźwięk odrazy innym, prostującym ścieżki mesyaniczne, że już go spotykam bardzo często po za *Chimerą* i w tak różnych wypadkach, że o zamknięciu go w jakichkolwiek granicach nawet myśleć nie można. Wszakże jeden z reporterów nazwał spóźniających się na koncerty — „kabotynami.“

Po tem wyjaśnieniu czytelnicy łatwo odczują moje przerażenie, gdy w Salonie Krywulta znalazłem się przed obrazami Muncha i Wyszyńskiego. Pierwszego nieco pojąłem, bo sam tak kiedyś rysowałem w szkole, za co barbarzyńca nauczyciel zamiast „sławy wszechświatowej“ stawiał mi dwójkę. Ale drugi poprostu zmiażdżył mnie swoją tajemniczością i „rytmem poezyi Kasprowicza.“ Szerokie, proste i skręcone smugi, czarne i czerwone, przeciągnięte w rozmaitych kierunkach, jak gdyby malarz parkanu wytarł o te płótna pędzel z resztek farby. Co to jest? A właściwie: dlaczego to ma wyrażać „ból“? Chociaż pytałem siebie największą myślą, ogarnął mnie strach. Zdawało mi się, że ją ktoś podsłuchał, stanął przy mnie, przyłożył mi do piersi pistolet i zawołał: „Albo padnij na kolana, albo cię nazwę...“ Rozumie się, padłem na kolana, a on odchodząc, spojrzał na mnie ze wstrętem i rzekł: „Kabotyn!“ Czasem nadmierne upokorzenie tchórza wywołuje w nim gwałtowny bunt. Więc i ja oprzytomniawszy, powiedziałem sobie: „Wolę być kabotynem w kwadracie, w sześcianie, w potędze *n*, niż wielbicielem tej chlapaniny.“ Ale szybko ochłonąłem. Widzę bowiem, że nad rodem „kabotynów“ zawisła istotnie mocna ręka ze straszną maczugą, która nas utrzymuje w trwodze i posłuszeństwie. Nie ulega wątpliwości, że gdyby prawdziwy esteta przedstawił nam trójkąt i kazał przysiądz, że to jest Herod, większość z nas przysięgłaby za siebie i swoich potomków. Tytuł „człowieka inteligentnego“ nie jest taką drobnostką, ażeby go można było pozbywać się za upór przy swojem zdaniu, a nieuchronnie straci go i pozbawiony zostanie szczególnych praw i przywilejów każdy, kto widząc na obrazie coś podobnego do konia z pięcioma nogami i jednem skrzydłem, nie krzyknie w zachwycie: „Tak, to jest ciężki poród miłości w błyskawicach Kopenhagi!“

Najlękliwsi jednak ludzie mogą podziwiać cudzą odwagę, a nawet są najgorętszymi jej czcicielami. Więc też i ja uczułem nadzwyczajny podziw — dla p. Sygietyńskiego. Wiadomo, że u nas krytyka ogryza kości z bezdomnymi psami nad Wisłą, gdyż nigdzie nie znajduje przytułku, dopóki jej nie spróchnieją lub nie wypadną zęby. Wiadomo również, że w ocenie znakomitych aktorów i wirtuozów wysilamy się na to tylko, ażeby związać w bukiet jak największą ilość pachnących przymiotników. Po koncercie Paderewskiego tak się z nich wyczerpał słownik gwary dziennikarskiej, że sprawozdawcy musieli tworzyć nowe — zupełnie bezsensowne. I wtedy to, wobec tak powszechnego i wspaniałego rozrzedzenia mózgu p. A. Sygietyński wystąpił w *Gońcu* z ostrą krytyką „arcydzieła“ i nazwał operę *Manru* „szmaciarką.“ Mniejsza o to, czy ma słuszność, czy też nie, ale jakiż to śmiały człowiek! I może nawet jest „kabotynem“? Jakże bym tego pragnął.

Go—on.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pomimo stwierdzonego istnienia charakterów krwiożerczych, znajdujących rozkosz w okrucieństwie, trudno przypuścić, ażeby wszyscy sprawcy ludzkich męczarń i mordów byli zwyrod-

niałymi potworami. Niewątpliwie bowiem najgłówniejszą sprężyną tych czynów jest ciemnota. Jeżeli Tomasz z Akwinu, jeden z najświatlejszych umysłów XIII w., głęboko wierzył, że burze i choroby są dziełem czarta, to nie można się dziwić, że jakiś biskup z Bydgoszczy spalił w ciągu roku 600 czarownic. Mnisi średniowieczni nie mogli sobie inaczej wytłomaczyć swych mistycznych pożądań, tylko psotami złych duchów niewieścich, które tak kusiły najświątobliwszych mężów, że ci błagali niebo, ażeby im zesłało anioła dla zabezpieczenia od grzechu. Gdy pewien pisarz francuski wpadł na pomysł, że obfitość czarownic w Bordeaux pozostaje w ścisłym związku z wielką ilością ogrodów owocowych, bo djabeł lubi jabłka, domniemanie to uznano za szczególnie trafne. Dziś zbolałej Fredegundzie każdy lekarz wyjaśniłby przyczynę śmierci jej syna; w VI w. nie mogła ona uwierzyć, ażeby otaczające go kobiety nie zawiniły w jego zgonie i kazała je zabić.

Życie ludzkie — pojedyncze i zbiorowe — obraca się ciągle w jakiemś błędnem kole. Okrucieństwu średnich wieków długo nie pozwolił złagodnieć środek, który również był wytworem ciemnoty i zarazem najmocniejszą podporą jej srogich wyroków — mianowicie tortura. Ponieważ ona zawsze wydobywała z oskarżonych pożądane zeznania, więc podtrzymywała wiarę w ich prawdziwość i usprawiedliwiała oparte na nich kary. Jeżeli prażona lub łamana — czyli jak wtedy mówiono — *decenter questionata*, „przyzwoicie badana“ kobieta sama zaświadczyła, że jest czarownicą, że jeździ po powietrzu, że dręczy i unieszczęśliwia swoje ofiary, ówcześni inkwizytorowie nie mogli wątpić o jej nadprzyrodzonej sile i szkodliwości, nie mogli tolerować jej zbrodni. Przez całe też stulecie kręcili się w błędnem kole sądowych mordów, z którego wyprowadziła ich potomków dopiero oświata, wykazawszy, że mniemane przekonanie jest niedorzecznym błędem, a mniemany probierz najfałszywszym sprawdzianem. Stwierdzono wreszcie, że przyznanie się więźnia do zarzucanej mu winy nie jest w pewnych warunkach jej dowodem i że tortura stanowi najbardziej zawodne narzędzie badania. Nietylko też ją zarzucono, ale starano się zatrzeć pamięć o niej w historyi. Nowoczesne jednakże prawodawstwa nie odrazu i niezupełnie pozbyły się przymusu, jako sposobu wykrycia prawdy, utajonej w samoobronie podsądnych. Zniesiono „próby ognia i wody,“ usunięto maszyny do wykręcania członków i łamania kości, ale pozostawiono łagodniejsze środki udręczeń, przedewszystkiem zaś bicie i dokuczania moralne, które dla inkwirentów posiadały nadewszystko tę zaletę, że najkrótszą drogą prowadziły do celu. Naturalnie udoskonalona tortura tylko zmniejszyła liczbę omyłek, ale im nie zapobiegła. Pozwolę sobie tu przytoczyć fakt, który zapewnie żyje dotąd we wspomnieniach mojego pokolenia. Przed 30 laty żona znanego w Warszawie człowieka została uwięziona za kradzież papierów procentowych u swej przyjaciółki. Poszlaki były rzeczywiście dość ugruntowane, a co ważniejsze — oskarżona po kilku dniach przyznała się całkowicie do przestępstwa. Badający ją wszakże asesor, człowiek bystry i przenikliwy, zauważył w jej pozornej szczerości jakiś tajemny przymus. Istotnie, z dalszego śledztwa okazało się, że papiery skradł kto inny, że prostoduszną kobietę w razie zapierania się nastraszył długą rozłąką z dzieckiem (które niedawno urodziła) i dymisyą męża, obiecawszy jej wyjednać zapomocą swych stosunków natychmiastowe uwolnienie, jeżeli przyjmie winę na siebie. Oto, czego dokazała tortura moralna — nawet w rękach prywatnych.

Kodeks, obowiązujący u nas, zakazuje wszelkiego wymuszania zeznań, a tem bardziej używania gwałtu fizycznego. W metodzie jednakże badań pierwiastkowych, prowadzonych przez najniższe organy bezpieczeństwa publicznego, zdarzają się nadużycia. Niepodobna przypuścić, ażeby wszyscy zwolennicy tej operacyi wykonywali ją dla zadowolenia swych instynktów; przeważnie są to ludzie nieukształceni, niepojmujący zupełnie jej moralnego bezprawia i praktycznego nieużytku. Im się zdaje, że winowajcy, którego samem posądzeniem oskarżyli, nie należy oszczędzać, że wszelki środek wydobycia zeń przyznania się jest dobry, jeśli tylko jest skuteczny i że oni zarówno dla własnego obowiązku, jak dla tryumfu sprawiedliwości powinni go stosować. Dokąd po tej drodze można dojść i doprowadzić nieszczęśliwe ofiary, wykazała niedawno rozstrzygnięta w tutejszej Izbie sądowej sprawa o znęcanie się i samobójstwo Sadowskiego w Siedlcach, której echa odbijają się dotąd w łamach prasy i która pozostanie długo pamiętnym przykładem. Czytelnicy nasi ją znają z krótkiego opisu, powtarzać więc jej wątku nie będę. Zaznaczę w niej tylko parę momentów, które posiadają siłę piorunowej błyskawicy. Oskarżonym o wzięcie pieniędzy z kasy aptecznej był człowiek prosty, przedtem dwukrotnie karany za podobne przestępstwa. Zdawałoby się, że taki człowiek jest nietylko zdolny do kradzieży, ale nawet mało wrażliwy na znęcanie się nad nim i na grożącą mu hańbę. Wbrew słusznym pozornie domniemaniom ten recydywista był prawdopodobnie niewinnym, ten prostak zmuszany do przyznania się wpadł w taką rozpacz, że używał rozmaitych wybiegów dla zyskania swobodnej chwili, ażeby tylko się zabić. I wreszcie zabił się trucizną. I co my wraz z całą naszą mądrością poznawczą wiemy o tem, w jakiej duszy tkwi najdelikatniejsze poczucie godności człowieczej! Doprawdy, życie czasem niemiłosiernie przekreśla nasze najbardziej stanowcze mniemania.

Wypadek ten zbyt wstrząsnął sumieniem ogółu, ażeby wyroku Izby sądowej nie starano się uzupełnić potępiającą opinią. *Kuryer Warsz.* wystawił pręgierz i napiętnował pod nim — aptekarza, który oskarżył Sadowskiego. Jest to rzeczą niebezpieczną puszczać w jedną cienką rurkę cały strumień pary, która powinna przejść przez inne, grubsze a zatkane. To też obarczony ciężkiem brzemieniem swoich i cudzych grzechów słusznie zaprotestował przeciw nadmiarowi włożonej na niego odpowiedzialności, redukując swoją winę do zaniechania ratunku względem człowieka, którego nieopatrznie stracił w przepaść i którego przy większej rozwadze mógł ocalić. Z jego spowiedzi, mającej wyraźne znamiona szczerości i skruchy, wnosić można, że cień śmierci męczennika padł na niego stosunkowo najmniej. Ale kogokolwiek cień ten głównie pokrywa, staje on przed nami jako bolesna przestroga, dopominająca się usunięcia z dochodzeń śledczych starego przeżytku, który już tyle razy i tak dowodnie wykazał swą zdrożność, zwłaszcza że wobec kodeksu jest on bezprawiem. Byłoby to wprost niepojętem i nieprzebaczalnem, gdyby tragiczne samobójstwo Sadowskiego przesunęło się bez wpływu.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Trzy odczyty o rasowości.

I.

„Rasa“ w świetle antropologii.

Obok uczonych, którzy w zatargach kapitału z pracą oddali swą wiedzę w usługi silniejszemu, budując teorye ekonomiczne, uświęcające istniejący porządek rzeczy, powstały również, wywołane chęcią obleczenia w szaty sprawiedliwości interesów silniejszego, teorye o „rasach“ — zwłaszcza zaś o ich nierównej wartości. W społeczeństwach, wzburzonych walkami społecznemi i narodowościowemi, głuchych na niejedną prawdę naukową, żywem echem odezwały się owe twierdzenia, nadające pozory słuszności egoistycznym urojeniom. Kwestya rasowości zainteresowała też masy — bo przyrzekała pomoc w najżywotniejszych interesach. Najwybitniejsi przyrodnicy, począwszy od Humboldta aż do Bara, Virchowa, oświadczyli się wprawdzie ze stanowiska nauki przeciw dzieleniu ludzkości na „rasy“ stałe, ale politycy, występujący pod szatą uczonych, pojęciu temu wyrobili popularność, choć żaden z nich dotychczas określić i odgraniczyć pojęcia tego nie był w możności.

Wobec wielkiego zainteresowania się tą kwestyą i jej aktualnego znaczenia, jako czynnika politycznego, wiedeńskie „Towarzystwo etyczne“ zaprosiło trzech wybitnych profesorów — Hertza, Zenkera i Ratzenhofera — do wyświetlenia w publicznych odczytach wartości haseł, które w życiu lat ostatnich tak wielką zaczęły odgrywać rolę.

W pierwszym odczycie, dnia 9 b. m., Hertz w sali, szczelnie wypełnionej słuchaczami, mówił o rasach ze stanowiska antropologicznego. Odkąd bowiem historya, etnologia i antropologia wykazały, jak szybko różne ludy pod wpływem wojny, podboju, kolonizacyi zlewają się w jedną całość i zarzucają swą mowę — zwolennicy teoryi rasowości musieli zaprzestać powoływania się na język, jako na znamię rasowe: na miejsce lingwistyki w służbę polityki wciągnięto antropologię.

Nowsza szkoła próbuje dzielić ludzkość na rasy według znamion somatologicznych, starając się przytem na podstawie cech zewnętrznych ocenić duchową ich wartość, grupując je na niższe, tj. stojące bliżej typu zwierzęcego, i wyższe, bardziej od niego oddalone. By zaś pewne właściwości zewnętrzne podnieść do znaczenia „cech rasowych,“ trzeba najpierw wykazać ich niezawisłość od warunków zewnętrznych i trwałości — bo na tem, co podlega zmianom, niemożnaby przecież oprzeć wniosków o przeznaczeniu do wiecznej niewoli jednych, wieczystego panowania zaś drugich, co dla teoretyków rasowości stanowi jądro kwestyi.

Stałość w budowie czaszki i szkieletu, którą Kollman na podstawie wykopalisk stwierdził dla paru drobnych skrawków ziemi — przyczem sama metoda badań wykluczyła uwzględnienie zmian w ukształtowaniu mięśni, ubarwieniu itd., służy im za dowód niezależności znamion rasowych od środowiska; drugim, ważniejszym argumentem jest zauważona przez Virchowa odporność na wpływy otoczenia kolonistów Australii, Afryki południowej i sprowadzanych do Ameryki murzynów. Nie stają się podobni do krajowców — środowisko jest

zbyt słabe, by zmianę w ich typie wywołać — „rasa“ tryumfuje.

Ale oto wywód Hertza: Europejczyk w swej wyższej kulturze, w przywiezionych zwyczajach stwarza sobie, nawet żyjąc pozornie w tych samych, co czarni lub miedziani krajowcy warunkach, *inne* środowisko. Ubiór, lepsze mieszkanie chronią go od wpływów klimatu, a zwalenie całego ciężaru pracy fizycznej na ludność tubylczą rozluźnia znacznie ową styczność z przyrodą, która człowieka podbija, ryjąc na nim pewne piętno — niby znamię poddaństwa. Sprowadzani do Ameryki murzyni rozradzali się tak słabo, że ich siłę roboczą trzeba było wciąż nowymi transportami odmładzać — wpływ środowiska, wymagającego ciągłości generacyi, nie mógł się więc zaznaczyć na umierających bezdzietnie. Mieszkający w Indyach urzędnicy angielscy kształcą swe dzieci w rodzinnym kraju, do którego też i na starość wracają, by żyć z renty lub z pensyi — i tu czas trwania wpływu środowiska zbyt jest krótki, by zostawić ślady. A przytem cechy nabyte wskutek przystosowania się do otoczenia i stanowiące broń niezbędną w walce o byt — stają się wśród zmienionych warunków wprawdzie często niepotrzebne, ale i *nieszkodliwe*; tem się też tłumaczy pewna oporność ich trwania, która przez powierzchownych lub stronnych badaczy bywa przytaczana, jako dowód niezależności cech rasowych od otoczenia.“

Podobieństwo „niższych“ ras ludzkich do zwierząt i stworzeń „niższych“ uważane bywa za oczywisty dowód ich niezdolności do dalszego rozwoju oraz nizkiego, służalczego przeznaczenia. Tymczasem Ranke i Weissbach wykazują, że *proporcye ludzkiego ciała są w ścisłym związku z rodzajem zatrudnienia*. Ludzie, pracujący fizycznie, mają zazwyczaj ramiona i odnóża znacznie dłuższe w stosunku do korpusu, niż pracownicy zawodów liberalnych. Murzyn o wydłużonych rękach i nogach stoi o wiele dalej od typu zwierzęcego, niż niejeden uczony, krótkością kończyn przypominający pogardzanych czworonogów. Różnice w proporcyach ciała są znacznie większe pomiędzy poszczególnemi warstwami jednego społeczeństwa, niż między różnemi rasami; trudno zatem z tych danych wróżyć cokolwiek o ich przyszłości lub wnioskować o ich przeznaczeniu.

Różnica duchowej wartości ras odbićby się musiała przedewszystkiem w stałych różnicach uformowania czaszki. Nowsi zwolennicy rasowości z ogromnem też zamiłowaniem oddają się badaniom nad pomiarami czaszki, opierając nieraz całą historyę przeszłości na antagonizmie między długo a krótkogłowymi. Był czas, kiedy prawdziwy szał robienia pomiarów ogarnął antropologów, zwłaszcza dyletantów, którym każda wiązka cyfr wydała się dostateczną do wysnuwania jak najdalej idących wniosków. Długogłowość, którą — cokolwiek przedwcześnie — najwybitniejsi przedstawiciele tego kierunku (Gobineau, Chamberlain) przyjęli za właściwość swego narodu, ogłoszoną została, jako znamię szlachetnej rasy, zaś krótka czaszka, jako dowód pośledniości duchowej i moralnej oraz niezdolności do rozwoju kulturalnego. Szkoda doprawdy, że Schiller, Kant, Napoleon, Pascale byli krótkogłowcami — coby to oni zdziałali, gdyby mieli czaszkę dłuższą? Ale dzięki ludziom prawdziwej nauki cyfr tych wkrótce przybyło więcej, a w ich oświetleniu pokazało się, że nawet najmniej liczne rasy posiadają czaszki różnego typu, że nawet najdawniejsze i najlepiej znane wykazują ogromną rozmaitość proporcyj pomiarów czaszki. Fakt zaś, że wśród Indyan, u których znajdujemy zdumiewające jednolitości cech zewnętrznych, istnieje wielorakość typów czaszki, niedająca się na razie niczem wytłumaczyć — wstrząsnęła wogóle wiarą w formę czaszki, jako w znamię rasy.

Mniejszy ciężar masy mózgowej u ras niższych był również podstawą rozlicznych wniosków, choć i tutaj między ludami, stojącymi na tym samym stopniu kultury, większe często zachodzą różnice, niż między ludami pierwotnymi a kulturalnymi. Ranke wykazał ścisłą zależność objętości czaszki od wielkości całego ciała. Dlatego też wszelkie zestawienia, które nie uwzględniają pomiarów całości, nie mają żadnego naukowego znaczenia. Mózg małego Japończyka jest zapewne lżejszy od mózgu wielkich Patagończyków, ale jaka między nimi umysłowa różnica! Virchow, który badał mózgi paru mieszkańców kraju Ogniowego, uważanych za istoty najniższej rasy, podnosi z naciskiem wielkość ich czaszki, a inni badacze stosunkową wagę ich mózgu i bogactwo zwojów w porównaniu z mózgami europejskimi.

„Zwierzęco“ wystające szczęki są bezpośrednim następstwem wysiłków, koniecznych przy gryzieniu twardych, nieprzyprawionych pokarmów, np. surowego mięsa, a skośne uzębienie również często znaleźć można u Włochów i Holendrów, jak u Brazylijczyków i Hottentotów. Wśród krótkogłowych, zwłaszcza ciemno zabarwionych ludów Europy, „szlachetny“ kąt twarzy (tj. zbliżony do prostego) wogóle częściej się spotyka, niż u długogłowych, przedstawicieli niby wyższego typu ludzkiego.

Zdaniem Virchowa najwięcej nawet wprawny kraniolog nie może powiedzieć nic pewnego o rasowej przynależności czaszki, której pochodzenia nie zna. Nic więc dziwnego, że wobec tej mnogości różnic i odmian, już w samej budowie kości głowy — które Hertz objaśnia podleganiem wpływom zewnętrznym i wewnętrznym — w mięśniach twarzy tem więcej nieregularności spotkać można. Fałd w powiece, nadający oczom Mongołów wygląd skośny, znaleźć można i w Europie u 12% dorosłych a 33% dzieci do lat sześciu.

Mięśnie twarzy ulegają przytem w znacznym stopniu działaniu siły, mało znaczącej w rozwoju innych organów ciała, a mianowicie nieświadomemu, czasem zaś i świadomemu naśladownictwu. Różnice, dające się zauważyć w twarzach niemieckich, angielskich i polskich Żydów, wynikają nietyle z rzeczywistej przymieszki krwi obcej, jak raczej z mimowolnego przystosowania się ruchów, układania mięśni twarzy według wzorów spotykanych w otoczeniu. Wogóle Żydzi, którzy już w drugiej, trzeciej generacyi po wyjściu z Ghetta zatracają żydowski wygląd, a zwłaszcza Żydzi obywatele ziemscy np. w Galicyi, którzy ostentacyjnie używają zamaszystych ruchów ziemian z dziada pradziada, są znakomitym dowodem zależności tych cech od sposobu życia i środowiska. Każdy prawie mąż sławny, budząc u współczesnych chęć naśladownictwa, wywołuje w niektórych kołach pewne przekształcenie typu twarzy. Ileż to namnożyło się ludzi o głowach Bismarcka, Lassalla, Nietzschego! Każda sekta religijna ma swój odrębny wyraz twarzy. Inaczej wyglądają metodyści, inaczej kwakrzy, inaczej żyjące w zupełnem odosobnieniu od świata zakonnice itd.

Żadne może znamię rasowe nie ściągnęło na siebie tyle uwagi i nie obudziło takiej chęci tłumaczenia, co różnica w zabarwieniu skóry, włosów i oczu. Ta różnica jest wywołana odmiennem ilościowo wytwarzaniem i gromadzeniem się jednakowego w swej istocie barwnika (pigmentu). Powstawanie pigmentu nie jest jeszcze należycie wyjaśnione, ale w istnienie związku między ubarwieniem a klimatem nikt nie wątpi. W żarze słońca południowego przyzwyczajono się już zdawna szukać przyczyny ciemnej cery ras południowych, aż nowsza etnografia i geografia i to dawne wierzenie poderwała.

Przekonano się, że najciemniejsze zabarwienie znajduje się nie pod najgorętszem niebem, że Eskimowie, pędzący życie wśród śniegów, są ciemno zabarwieni, że Indyanie i Murzyni, żyjący pod tym samym stopniem szerokości geograficznej, różnie są zabarwieni i że często tuż obok siebie spotkać można rozmaicie zabarwione rasy. Znaleźli się więc uczeni wobec działania nieznanych jeszcze dobrze sił, lecz badania lat ostatnich tyle już światła na tę ciemną sprawę rzuciły, że pierzchnąć przed niem muszą zachcianki uznania słabszego lub silniejszego zabarwienia za niezmienną cechę rasową. Największą doniosłość posiada odkrycie, że ciepło znacznie mniejszy wpływ wywiera na skórę, niż *chemiczne* działanie promieni świetlnych. Liczne poszukiwania wykazały, że pigment stanowi bardzo dobrą ochronę przeciw ujemnym skutkom chemicznego oddziaływania światła na skórę. Choć więc barwa czarna w zupełności pochłaniająca, jak wiadomo, promienie ciepła, wydaćby się mogła złem przystosowaniem skóry murzyńskiej do gorąca klimatu, stanowi ona przecież dla Murzyna naturalną broń w walce z ujemnym wpływem słońca, przed którym Europejczyk darmo szuka ucieczki w białych, lekkich tkaninach, przepuszczających promienie chemiczne. Gęsta warstwa pigmentu wywołuje przytem silne pocenie się całego ciała, nieprzyjemne dla europejskiego powonienia, lecz dające czarnym pewną ochłodę.

W ten sposób barwa skóry z odwiecznej, niezmiennej właściwości rasowej staje się naturalnym wynikiem przystosowania i doboru, a zagadka istnienia tuż obok siebie wielkich grup ludzkich, o różnem zabarwieniu, tłumaczyć się daje łatwo wędrówkami i trwałością cech, osiągniętych w walce o byt, niepotrzebnych może następnie, lecz niestanowiących w nowych warunkach utrudnienia. Różnica w barwie skóry Murzynów a Indyan ma może swą naturalną przyczynę w gęstych lasach Ameryki, dających mieszkańcom nietylko cień i schronienie przed skwarem, lecz pochłaniających w gęstwie zielonych liści tyle promieni chemicznych, że już mniej potrzeba pigmentu dla ochrony od reszty.

Zwyczaj smarowania ciała mieszaniną tłustości i sadzy, znany wśród dzikich, ma zdaje się źródło w chęci wyrównywania sztucznym pigmentem przyrodzonych braków. Ochrona ciała sadzą przed odbiciami śniegu i lodu jest rozpowszechniona wśród turystów, być więc może, iż ciemna skóra Eskimów jest w ścisłym związku z iskrzącą się jasnością ich uśnieżonych płaszczyzn. Silne zimno pali równie skórę, jak żar słoneczny, a Eskimowie północy, tak jak i mieszkańcy krajów ogniowych południa sadzą malują sobie skórę na czarno. Rozpowszechniony wśród dzikich zwyczaj smarowania ciała jest, zdaniem Virchowa, często przyczyną mylnych wyobrażeń o ich rzeczywistem zabarwieniu.

Za szczególne znamię rasy uważano długo i włosy, lecz według Hertza, badania naukowe wykazują zupełną bezpodstawność tych przypuszczeń. W przeważającej większości wypadków kolor włosów jednego i tego samego człowieka ulega z biegiem lat ciągłym zmianom, tak iż według Pfitznera, ustala się dopiero około 40 roku życia. W Nowej Gwinei dzieci mają jasne, złocisto-rude włosy, które następnie ciemnieją i stają się nawet zupełnie czarne. Dzieci murzyńskie mają początkowo włos miękki kasztanowaty, który dopiero potem skręca się i grubieje. Budowa włosów nie może być też pomocną w dzieleniu ras na niższe i wyższe, gdyż tak nizko stojący Australczycy mają, włos miękki, falisty, wijący się w piękne loki. Kolor oczu zmienia się również z upływem lat i niezawsze bywa dziedzicznie przekazywany.

Trudność czystego wyodrębnienia ras

potęguje się jeszcze, jeśli zwracamy uwagę nie na jedno, lecz parę znamion, bo znaleźć można rozmaite kombinacye. W Niemczech np. widzimy powolne przejście od krótkogłowego, ciemnego południowca do długogłowego jasnego syna północy. We Włoszech też wprawdzie północ wykazuje więcej blondynów niż południe, ale tu mamy za to na północy krótkogłowych, na południu zaś długogłowych. We Francyi rozdział między formą czaszki a ubarwieniem jest jeszcze większy: linia pociągnięta z północo-wschodu ku południo-zachodowi dzieli Francyę na wschodnich, wysokich blondynów i zachodnich, małych brunetów. Lecz jeśli pociągniemy linię od północo-zachodu do południo-wschodu, to mamy na wschodzie długogłowych, na zachodzie zaś — krótkogłowych.

Europa była, jak to wykazują fakta, widownią daleko bardzo sięgającego nawarstwowienia oraz mieszania się ras—co wszelkie wnioski, liczące się z czystością rasowego pochodzenia z góry wyklucza. Badania nad zewnętrznemi znamionami, które mogłyby utrwalić pyszałkowate zachcianki narodów „wyższych“ we własnem mniemaniu, wykryły te same szlachetne niby cechy u ludów, z którymi pobratymstwo teoretykom rasowości wcale nie jest pożądanem. Antropologia wykreśliła pojęcie cech nastrojowych „niższych“ i „wyższych“ z dopuszczenia bożego wśród ludzi, a postawiła na to miejsce ścisły związek między przyczyną a skutkiem, między otoczeniem a życiem, fizycznemi a duchowemi właściwościami człowieka.

Hel. G.

LITERATURA I SZTUKA.

Bajarz dla herbowych próżniaków.

Doprawdy, że pomimo chęci unikania ostrych słów i sądów partyjnych przy ocenianiu zjawisk literackich, nie można inaczej nazwać Bourgeta — po jego ostatnim występie. Przy całej swojej śmiesznej filozofii społecznej, opartej na bezkrytycznym kulcie arystokracyi angielskiej, przy całej nieznośnej pozie analizującego psychologa, zastanawiającego się z najpoważniejszą miną w świecie nad wieczną, francuską zagadką trójki małżeńskiej, przy zarozumiałości „Jaśka, co to bywał u dworu, wie, jak w piecu palą,“ autor „Okrutnej zagadki,“ „Zbrodni i miłości,“ „Kłamstw,“ „Kosmopolii,“ był jednak niezaprzeczenie pisarzem subtelnym, pełnym poczucia miary, wybornym stylistą, zajmującym i nieraz nawet wzruszającym. W sławnym „Uczniu“ i przeszłorocznym „Stepie,“ wszedłszy na drogę moralizowania, sądzenia szerszych zjawisk społecznych, mianowicie nauki nowożytnej i wznoszenia się społecznego nowych warstw, okazał się wprawdzie skrajnie tendencyjnym fałszerzem rzeczywistości, denuncyantem wcale niepopełnionych win demokracyi i myśli wolnej, a przytem rezonerem modnym, ale przynajmniej były to, z punktu widzenia konserwatysty, próby krytyki poważnej. Natomiast ostatnia jego powieść — *L'eau profonde* — to poprostu ramotka, nic a nic więcej. Upadek talentu...

„Głęboka woda“ — to symbol głębokiej a nieocenionej duszy kobiety, rozumie się, hrabiny czystej krwi. Mąż, którego kocha całem sercem, zdradza ją z jej własną siostrą cioteczną. On bowiem jest nieśmiały, żona również, więc nie umieją się kochać, a kuzynka, szczwana liszka, bierze szlachetnego hrabiego wyrafinowaną zmysłowością. Ponieważ jednak kuzynka była zawsze nieco uboższa od hrabiny (ma biedactwo *tylko* 32,000 renty), a oprócz tego niezbyt szczęśliwie wyszła za mąż i żyje w separacyi, którą mąż ma ochotę zamienić na rozwód, więc pomimo anielskiej dobroci hrabiny zazdrości jej, nienawidzi i marzy o tem, żeby hrabiego rozwieść z żoną i zająć jej miejsce. Przypadek daje jej w ręce broń przeciw rywalce: odkrywa ona, że hrabina składa od czasu do czasu potajemne wizyty w samotnej willi na drugim końcu miasta. Po krótkiej walce ze sobą denuncyuje żonę przed mężem. Hrabia jest naturalnie niesłychanie oburzony, szpieguje żonę, wdziera się podstępem do owej willi — lecz tam czekają go zdumiewające niespodzianki. W salonie zastaje portret swej własnej matki z czasów młodzieńczych, portrety swoje z różnych epok życia, żony, dzieci własnych. Pan domu zaś, stary paralityk, na jego widok dostaje śmiertelnego ataku. Na to zjawia się żona. Po krótkiem oburzeniu przebacza mężowi podejrzenie, choć dowiedziała się ze swej strony o jego winie, i z dobrocią i łagodnością odsłania mu tajemnicę, którą jej wyznała jego matka na łożu śmierci. Ten umarły paralityk — to kochanek jego matki, jego rzeczywisty ojciec. Ponieważ był o wiele uboższy od swej kochanki, a chciał utrzymywać się na tym samym poziomie towarzyskim, więc z miłości, tylko z miłości, sfałszował testament swego wuja, naznaczając siebie spadkobiercą, zamiast innych krewnych. Rzecz się wykryła. Winny chciał sobie odebrać życie. Kochanka, tając przed mężem i wszystkimi swoje uczucia i cierpienia, skłoniła go jednak listami swymi do poddania się sądowi, do odpokutowania winy w więzieniu, poczem dawny, świetny kawaler, choć odziedziczył, tym razem naprawdę, znaczny majątek, zmienił nazwisko, osiadł w odległej dzielnicy i oddał się wyłącznie dobroczynności! Dawna kochanka odwiedzała go potajemnie i kazała na łożu śmierci robić to samo żonie swego syna — bo jego samego się wstydziła. Dowiedziawszy się o tej strasznej i wzruszającej historyi, młody hrabia zaczyna wreszcie naprawdę kochać żonę, a intrygantka-kuzynka za karę zostaje na koszu, ale ratuje się szczęśliwie małżeństwem z bogatym Amerykaninem.

Historya więc tajemnicza, skomplikowana, sensacyjna i strasznie sentymentalna. Bourget zapewnia gorliwie, że prawdziwa, i że opowiedział ją dlatego, żeby pokazać, jakie to ukryte dramaty odbywają się w tem napozór zimnem i zawsze poprawnem towarzystwie arystokratycznem. Być może, być może... Nie wiem tylko, jaki cień wyższości znaleźć można w tej bajce o dobrej hrabinie i złej kuzynce, o nagrodzonej cnocie i ukaranym występku, w porównaniu z niemniej sensacyjnemi bajdami, równie prawdopodobnemi lub nieprawdopodobnemi, któremi specyalni fabrykanci zapełniają odcinki paryskich dzienników dla czytelników ludowych. Muszą to robić nawet dzienniki, skądinąd lud uświadamiające, bo jeśli mężczyzna kupuje gazetę dla artykułu politycznego, to kobieta — tylko dla melodramatycznych historyj w odcinku, i gdyby ich nie miała, to zmusiłaby męża do kupowania innych gazet. Lamentuje się z tego powodu nad brakiem smaku artystycznego mas. Lecz jeśli najulubieńszy dostawca literacki „śmietanki narodu,“ akademik Paweł Bourget, ośmiela się ofiarować swym stałym odbiorcom—po „Kłamstwach“ i „Fizyologii miłości nowożytnej,“ podobną ramotę, podobną naiwnie-melodramatyczną bajeczkę, której sama technika, sama robota pisarska, stoi na poziomie z przed lat pięćdziesięciu i wcale nie przewyższa, że weźmiemy jakiś przykład znany, no — „Pałacu i rudery“ początkującego Prusa — to pozwala nam wnosić o rozpaczliwym upadku gustu artystyczno-literackiego w salonach arystokracyi francuskiej — niegdyś, niegdyś, przybytkach literatury pierwszorzędnej.

A jaką filozofią społeczną bajaczka ta jest „okraszona“! Bourget potrafił tu złośliwą naiwnością przewyższyć — a to dużo znaczy — Sienkiewicza z „Bez dogmatu,“ który swemu bohaterowi wkłada w usta słowa, miażdżące warszawskiego radykała: że skoro się jest wyznawcą teoryi Darwina, to nie można jednocześnie być demokratą, czyli obrońcą słabszych... Gdy nieena kuzynka postanowiła zadenuncyować hrabinę przed mężem, to mówi sobie: „No, sprawiedliwości stanie się wreszcie zadość!“ I oto Bourget filozofuje: „Najohydniejsza podłość, jaką kobieta może popełnić względem kobiety, została pokryta hasłem sprawiedliwości. W dziedzinie społecznej, tak samo jak uczuciowej, to słowo: sprawiedliwość, tak uroczyście wygłaszane, służy najczęściej do tego tylko, żeby usprawiedliwić w oczach naszych własnych nienawiść do szczęścia cudzego. Dobrze jest powtarzać wciąż tę prawdę elementarną w epoce, która celuje w zdobieniu najbardziej idealistyczną frazeologią najwstrętniejszych, najmniej szlachetnych namiętności! Ta młoda dama, objawiająca tak przewrotny egoizm, rozumowała zupełnie tak samo, jak sprawcy przewrotów. Sofizmat jej był tylko mniej niebezpieczny, choć chęć szkodzenia — niemniejsza.“ Co? Czegóż więcej potrzeba, aby przez hrabiów być uznanym za przepastnie głębokiego psychologa i socyologa? — A przytem, niemniej głębokie, ale z punktu widzenia społecznego rzeczywiście nieskończenie ważniejsze rozważania o tem, że zły, ba! „fatalny“ (*funeste*) jest francuski zwyczaj noszenia tytułów przez wszystkich członków rodziny arystokratycznej, bo należałoby, żeby „cały ród był utytułowany w osobie najstarszego swego przedstawiciela.“

Bardzo, bardzo jest charakterystyczna ta ostatnia powieść Bourgeta...

W tym samym tomie wydał on jeszcze kilka nowel pod wspólnym tytułem „Krok w krok.“ Za motto służy mu legenda ludowa, że dusze czyścowe muszą po śmierci iść krok w krok drogą swego żywota, przeżyć na nowo wszystkie grzechy, płakać nad wszystkiemi z własnej winy poniesionemi stratami. Nowelom tym nie można odmówić pewnego uroku i zręcznej roboty, chociaż obracają się one prawie wyłącznie około duchowych powikłań niewinnych mężów i żon z arystokracyi. Żeni się to wszystko z kobietami zupełnie sobie obcemi, nieznanemi, niekochanemi, z wyrachowania i konwenansu, i potem cierpi na niezrozumienie i szuka za domem pociechy. Paskudztwo! — Jedną nowelę trzeba stanowczo wyróżnić. Bohaterem jej — poeta René Vincy, znany czytelnikom Bourgeta z powieści „Kłamstwa,“ ów płomienny, subtelnie czujący, wielkiego talentu młodzieniec. Został znanym, dobrze płatnym, „wielkim“ poetą. Ale — jak to zwykle w tych razach bywa — wyjałowił się. Sztuki jego mają mniejsze powodzenie. Zjawiają się młodsze gwiazdy. Koledzy życzliwi drażnią go ironią. Wtedy Vincy, pragnąc całą duszą wydać jakieś nowe dzieło, któreby zamknęło usta swą wartością nieżyczliwym, przypomina sobie proste, świeże wiersze, ktore pisał w dwudziestym roku życia dla młodego, kochanego dziewczęcia. Później opuścił ją, ożenił się, ona wyszła za mąż. Odnajduje adres, idzie — po dwudziestu kilku latach — z wizytą, już ma prosić o oddanie wierszy, ale w ostatniej chwili wstyd go chwyta, prośby nie powiada, świętokradztwa młodości cudnej nie popełnia, odchodzi.

I tu jednak Bourget nie powstrzymał się od złośliwie-naiwnej, konserwatywnej filozofii. Opisując stopniowe zmniejszanie się popularności znanych pisarzy, mówi, że

usiłują oni wtedy odzyskać popularność, wychodząc ze swego obronnego odosobnienia, przyjmując godność przewodniczenia na radykalnych zebraniach, wygłaszając poglądy radykalne, zgodne z modnym „duchem czasu," a niezgodne z całą ich przeszłością. Ten wyraźny przytyk do kolegi-akademika, Anatola France'a, nie zdoła zmienić ani zasłonić faktu, że talent France'a, czerpiąc z nowych źródeł ideowo-społecznych, nigdy nie był świeższym i szczerszym, niż obecnie, gdy tymczasem talent Bourgeta znajduje się widocznie w fazie uwiądu starczego, przedwczesnego, ale tak zrozumiałego...

K. Radosławski.

NOWE KSIĄŻKI.

— Aleksander Mogilnicki: **Z jasnych dni** Łódź, Rychliński i Wegner.

Ten „mały tomik poezyj" nieźle świadczy o rodzinnych uczuciach autora, który też na wstępie oświadcza, że przed ojcem i bratem nie otwierał tajników swego serca. Czemu nie „serduszka"? Przecież autor lubi pieszczotliwe zdrobnienia, a w danym razie miałoby to więcej sensu, niż te wszystkie „wierzbinki," „ptaszynki," „kwiateczki" i „rumieńczyki" (patrz wiersz o wierzbince, co ręką przyciskała swe łono, str. 35). Autor nie ufa „granitowi serca tego świata" — zupełnie niesłusznie. Granit się nic obruszy, bo czytelnicy nie uważają chyba za zbrodnię atramentowo-papierowych nadużyć, choćby ze względu na to, że „śmiech jest zdrowy," a niema pono nic śmieszniejszego nad komizm bezwiedny i mimowolny. Cały zbiorek nie zawiera w sobie ani jednej nuty gorszącej, nawet tam, gdzie p. M. pieje o miłości. Przeciwnie, znajdujemy tu niejedną myśl poprawnie szlachetną, albo umiarkowanie wzniosłą. „Cudów siedlisko jest właśnie wśród ziemskich obszarów," ale „miłość każe myśli lecieć do nieziemskiej krainy." Takie siadanie na dwóch stołkach odrazu pozwala autorowi kochać kobietę za to np., że słońce w południe przygrzewa, że jeden płacze a drugi się śmieje, że Wisła ciężkie fale toczy — i jednocześnie „składać pieczęć miłości na karminie ust." Na ... po co? Przecież Wisła płynie po dawnemu i nie skąpi wody na atrament dla grafomanów. Zresztą, darowałbym autorowi wszystko, nawet wiersz, wypowiedziany na obchodzie jubileuszowym Sienkiewicza (choć rzeczywiście „niedość go uczcić kadzidłem"... papierkowem) i wiersz niewypowiedziany na obchodzie jubileuszowym Konopnickiej (najlepszy ze wszystkich przynajmniej w strofach końcowych, gdzie autor wyszczególnia po kolei tytuły utworów poetki, znanych czytelnikom nietylko z tytułów), darowałbym mu nawet nieprzyzwoicie naiwny „podział skarbów," „opowiadania," „rymy bez treści." Wszystko to razem wzięte, jako „mały tomik poezyj" mogłoby stanowić miły upominek gwiazdkowy dla niemowląt, które nie zdążyły się jeszcze przekonać, że po zimie następuje wiosna, a po wieku dziewietnastym — wiek dwudziesty, że drzewa zrodziły się z „ziarneczek," że „chwila raz stracona nie wraca już," albo że szczęście ... nie jest „godne ludzkości." Ale niestety końcowy „świetlano-czarny krzyk milczenia" zepsułby niewątpliwie na długo dobry sen i dobry apetyt najlepiej odżywianym niemowlętom. Oto niewinny kotek, którego „cała uwaga skupiona na to, jak złapać koniec własnego ogona," stał się—tygrysem śpiewającym! Ujemne cechy organizacyi duchowej autora jedną wobec tego rozmyślnego sadzenia się ... — bezmyślność. Nieszkodliwa naiwność ... się, powiedzmy, głuchotą na zabójczą wprost kakofonię nonsensów w stylu takich „dekadentów," jak Soter Rozbicki. *C. B.*

Notatki literackie i artystyczne.

Nowa akademia artystyczna. W artykule (w nr. 48) o przyszłej szkole sztuk pięknych w Warszawie p. Kropka słusznie zauważył, że tymczasem powinno nam głównie chodzić o wychowanie artystów wogóle, na specyalne zaś szkoły poszczególnych działów sztuki nie stać nas jeszcze. Ale z tem większą zazdrością spoglądamy na kraje zachodnie, gdzie wysoko rozwinięta kultura estetyczna pozwala na coraz większą specyalizacyę wykształcenia artystycznego. W Paryżu np. do wielkiej ilości istniejących już szkół i instytucyj o charakterze artystycznym.przybywa nowa, w założeniu bardzo oryginalna i ciekawa. Grono ludzi dobrej woli, składające się z kilku malarzy, rzeźbiarza P. Roche, artystów-dekoratorów E. Conty i M. P. Verneuil, jednego botanika i znanego krytyka artystycznego Rogera Marxa, niedawno utworzyło tak zwaną „Académie des Arts de la fleur et da la plante," która ma zjednoczyć wszystkich artystów, czerpiących natchnienie dla swej twórczości głównie ze świata roślinnego, a więc malarzy, rysowników i rzeźbiarzy kwiatów, pejzażystów, dekoratorów i ornamencistów wszelkiego rodzaju, kwiaciarzy itd. Tym wszystkim nowa akademia chce dać możność dalszego kształcenia się i ciągłego doskonalenia w obranym kierunku. Rada miejska Paryża ofiarowała jej obszerny lokal w swojej kwiaciarni zamiejskiej, gdzie artyści stałe, w sposób różnoraki mogą dla swych celów korzystać z ogromnego zasobu świeżych kwiatów i roślin. W tem pomieszczeniu urządzone będą specyalne pracownie pod kierunkiem profesorów, mają się odbywać odpowiednie wykłady z zakresu sztuki w związku ze światem roślinnym, a od czasu do czasu, głównie w dni świąteczne, popularne pogadanki dla szerokiej publiczności.

Członkami akademii, po za kształcącymi się w niej, będą wybitni we wskazanym kierunku artyści i literaci, wybrani przez wyżej wspomniany komitet, a jedna lub kilka prób ich twórczości złoży się z czasem na specyalne muzeum oraz bibliotekę. W dalszym ciągu założyciele marzą o własnym ogrodzie, poświęconym hodowli szczególnie pięknych i malowniczych krzewów i kwiatów.

Z pracowni, wykładów, zbiorów i biblioteki uczniowie akademii korzystać mogą bezpłatnie, uiszczać tylko będą na pokrycie kosztów administracyi wkładkę roczną do wysokości 10 franków.

Nie ulega wątpliwości, że nowa instytucya, o ile komitet organizacyjny szeroko zakreślony program w czyn wprowadzić zdoła, może stać się wielce pożyteczną dla rozwoju sztuki szczególnie stosowanej. A nam jakże jeszcze daleko do tego rodzaju projektów!

P. E.

POEZYE. Zygmunt Różycki: „Najmłodsza Polska w pieśni," nakł. Dubowskiego.

— K. Laskowski: „Z chłopskiej piersi," nakł Dubowskiego.

— „Melodye," nakł. Gebethnero i Wolffa.

— M. C. H. K. Statler: „Poezye," nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Zygmunt A. Tyski: „Poezye I," J. Fiszer.

— Leon Rygier: „Poezye," nakł. Paprockiego.

— Marya Konopnicka: „Z mojej księgi," poezye V, w nowym układzie. „Drobiazgi z podróżnej teki," Gebethner i Wolff.

— Czesław Jankowski: „Młoda Polska w pieśni," wydanie drugie dopełnione, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— D-mol. Marya Wolska: „Święto słońca," Lwów, Księg. polska.

— Juliusz Słowacki: tom II i III, wydanie ilustrowane *Wędrowca.*

UTWORY POWIEŚCIOWE. A Groszecki: „Zwycięzcy," nakł. Gebethnera. „Tam gdzie się Wisła kończy," 2 tomy. „Na swobodzie," nakł. J. Fiszera.

— Jerzy Orwicz: „Ela," odznaczona na konkursie Biblioteki dzieł wyborowych, nakł. Dubowskiego.

— H. Orlicz-Garlikowska: „Szablon."

— Walery Przyborowski: „Chamska dusza" z XVIII w., 2 t., nakł. Dubowskiego

— A. Świderska: „Obok szczęścia," Gebethner i Wolff.

— K. Daniłowicz-Strzelbicki: „Jak to się kończy," sceny z życia, skł. u Gebethnera i Wolffa.

— A. Gedroic-Matuszewic: „Biały demon," nowele i fantazye. Gebethner i Wolff.

— Ire ad Sol: „Głód życia," skł. w Księg. Naukowej.

— T. Jaroszyński: „Dla nich," nakł. i druk Niemiry.

— Sylweryusz Kondratowicz: „Taniec lichwy," 2 tomy, Dubowski.

— T. Jeske-Choiński: „O mitrę hospodarską," pow. histor. XVI w., Gebethner i Wolff.

— Anatol Krzyżanowski: „Ogniwa," nakł. ks. Idzikowskiego.

— Andrzej Niemojewski: „Listopad," wydanie drugie, nakł. Rychlińskiego i Wegnera w Łodzi.

— L. Rygier: „Hańba dusz," nakł. Paprockiego.

— S. Żeromski: „Opowiadania," wydanie trzecie, Gebethner i Wolff.

— J. Żuławski. „Na srebrnym globie." rękopis z księżyca, nakł. Tow. wyd. Lwów.

UT. DRAMATYCZNE. M. Gorkij: „Na dnie," w 4 akt., tłom. P. Trzciński. J. Fiszer.

— S. Przybyszewski: „Schnee," verlag J Marchlewski C. Monachium.

SPRAWY EKONOMICZNE

Wyludnianie się wsi.

Na przekór tym wszystkim domorosłym uczonym naszym, którzy twierdzą uporczywie, że nasze stosunki ekonomiczno - społeczne rozwijają się na podstawach zgoła innych, niż w całym świecie, coraz więcej faktów wykazuje, że w tych samych warunkach wszędzie powtarzają się te same zjawiska bez względu na szerokość geograficzną i właściwości kulturalne społeczeństwa.

Weźmy pod uwagę choćby sprawę wyludniania się wsi, na co ziemianie nasi od dawna i słusznie się skarżą; ten sam objaw, lecz na wyższą skalę,spostrzegamy i w Wielkiej Brytanii, gdzie najpoważniejsze umysły zastanawiają się nad tym niekorzystnym stanem rzeczy i nad środkami jego poprawy.

Nie posiadamy, niestety, własnej w tym względzie statystyki, nie możemy więc na pewno powiedzieć, jak się rzecz cyfrowo przedstawia u nas, lecz statystyka angielska jest wysoce pouczająca. W r. 1851 ilość wyrobników rolnych wynosiła 1,250,000 głów, licząc okrągło; w ostatnich czasach cyfra ta zmalała do trzech czwartych miliona, przyczem spadek był dosyć równomierny, co świadczy o stałości procesu. Dzisiaj doszło już do tego, że ludność miejska wynosi trzy czwarte całego zaludnienia Wielkiej Brytanii. Odwrotnego procesu, powrotu ludności miejskiej na wieś nie spostrzega się nigdy; opustoszenie wsi przybiera niepokojące rozmiary.

Pytanie czy ludność ta przynosi wiele korzyści miastu? Odpowiedź brzmi niestety przecząco, ponieważ zaledwie część przybyszów znajduje stałe zajęcie, reszta zaś chwyta się pierwszego lepszego zarobku, pozostaje bardzo często bez pracy, ulega zwyrodnieniu fizycznemu i moralnemu, stanowiąc szumowiny wielkiego miasta.

Zjawisko to daje się zauważyć nietylko w wielkich miastach, jak mówi autor angielski, lecz i w mniejszych, gdzie występują te same niekorzystne objawy. Gdyby ten stały przypływ świeżej krwi wiejskiej mógł przynieść miastu korzyść,

rzecz dałaby się może przeboleć, ale nie należy zapominać, że to nie starzy, lecz młodzi ludzi opuszczają rolę i że ich dzieci będą już mieszczuchami, czyli innemi słowy, że źródło owej świeżej krwi wiejskiej gwałtownie wysycha i z czasem może zupełnie zniknąć.

Ludność wiejska ulega urokowi wysokiej płacy w mieście, która jednakże, w najlepszych warunkach, wobec nieznanej na wsi drożyzny okazuje się dochodem wcale niewysokim, zwłaszcza jeżeli się zważy, że przybysze są ludźmi bez wykształcenia zawodowego, a więc zdolni tylko do najniższego rodzaju pracy, najgorzej płatnej; zdarza się czasami, że zawiedzeni w swych rachubach pragnęliby powrócić na rolę, lecz niestety popalili mosty za sobą i odwrót jest już wprost niemożliwy.

O ile taki stan rzeczy jest niekorzystny dla stosunków miejskich, o tyle wprost zabójczy dla wiejskich. Na roli pozostają ludzie starzy, leniwi lub niedołężni, mówi dalej tenże sam autor angielski, zatem pożytek z nich niewielki; pracują oni mało i niechętnie, a przytem niepodobna ich nakłonić do wyuczenia się lepszych metod pracy; wszelkie wymagania do niczego nie prowadzą, nikt ich bowiem nie słucha, a gdy dojdzie do starcia, nawet ci nędzni robotnicy opuszczają folwark, często w najgoretszy czas żniwa dub sianokosu. Więc też właściciele większych majątków muszą zadawalać się robotą lichą, muszą coraz większą ilość ziemi pozostawiać odłogiem i zamieniać na pastwiska, na których wszelako nie pasie się wcale bydło, ponieważ ta strona gospodarki rolnej w Anglii ulega stopniowemu upadkowi.

Jedną z ważnych przyczyn ucieczki ludności wiejskiej z roli jest brak komfortu życiowego, do którego wszyscy zaczynają wzdychać wskutek wyższej oświaty i podniesienia się poziomu wymagań; jest to punkt wielkiego znaczenia i należy wziąć go pod uwagę, jeżeli się pragnie złemu zaradzić. U nas dziś jeszcze spotyka się ludzi utrzymujących, że chłop może mieszkać i żyć napół po zwierzęcemu; tymczasem wymagania kulturalne rosną, i kto pragnie włościanina zatrzymać na roli, powinien o tem pamiętać.

Drugim powodem ucieczki ze wsi jest traktowanie chłopa jak młodszego brata, którego można uważać za narzędzie robocze i wyzyskiwać da swych celów ekonomicznych; otóż, dopóki obywatel wiejski nie zacznie uważać chłopa za sąsiada, dopóty nie może liczyć na jego współdziałanie na roli, gdzie mu odmawiają pełnych praw ludzkich, których coraz więcej uświadomieni gwałtownie się domagają, szukając w mieście zaspokojenia swych pragnień.

Niemało do tego stanu rzeczy przyczynia się także czytanie książek i pism, pomieszczających wiadomości z całego świata i działających na fantazyę. Życie wiejskie jest monotonne i jednostajne, miejskie zaś przedstawia wielką rozmaitość i pole do popisu dla ludzi dzielnych i energicznych. Czyż można się więc dziwić, że ambitniejsi pragną pokosztować tego życia, o którem słyszą nieraz cuda od przybywających z miasta w odwiedziny do krewnych na wsi. Podniesienie, a raczej stworzenie barwniejszego i bardziej urozmaiconego życia wiejskiego, przyczyniłoby się niewątpliwie do zatrzymania wielu na roli.

Dużo też znaczy przykład, idący z góry. Jeśli włościanin widzi, że obywatel ze dworu nie pilnuje roli, lecz sporo zimowych miesięcy spędza w mieście na zabawie, przychodzi łatwo do przekonania, że życie miejskie jest widocznie ponętniejsze. Część winy spada także na nauczycieli ludowych, którzy niedość kładą nacisku na piękno życia wiejskiego, lecz podnoszą wyższość miejskiego, do którego sami może wzdychają, uważając pobyt na wsi za smutną konieczność.

Pod wpływem złego przykładu zaczyna się na wsi fanfaronada, noszenie ubiorów, przeszkadzających w pracy, i żądanie bezwarunkowo codzień odpoczynku wieczornego, chociażby była najpilniejsza robota. Dziewczęta wiejskie wolą przez próżność dandysów wioskowych, niż pilnych i skromnych pracowników, w ten sposób przyczyniając się także bardzo potężnie do przeszczepiania zwyczajów miejskich na wieś.

Gonitwa za przyjemnościami życia miejskiego i rozkoszami nie kultury, lecz jej lichych surogatów idzie w Anglii w parze z upadkiem ducha religijnego i zmniejszaniem się wpływu duchowieństwa, co w oczach purytańskich członków inteligencyi wielko-brytańskiej jest także objawem wysoce ujemnym i pożałowania godnym.

Nadzór proboszcza nad postępkami każdego parafianina nie podoba się wielu młodym ludziom, nieuznającym tej nieustannej kontroli swego życia i postępowania, to skłania też niejednego do ucieczki do miasta, gdzie tak łatwo zginąć w tłumie. Zdaje się że tego nie należy chyba nikomu brać za złe, ponieważ budzący się duch niezależności umysłowej i moralnej jest tak samo dobrym objawem na wsi, jak i w mieście. Zatem niechajby pasterze dusz ograniczyli swoje wścibstwo, a skargi na kontrolę sumienia ustaną i zniknie jeden przynajmniej powód do wyludniania się wsi.

Oczywiście, najważniejszą przyczyną są warunki zarobkowe; jeżeli płaca jest tak nizka, że włościanin nie może z niej wyżyć, toć niepodobna się dziwić, że uchodzi przed nędzą do miasta. Inna kwestya, czy częstokroć nie dostaje się z deszczu pod rynnę i nietylko nie poprawia swego położenia, lecz jeszcze je pogarsza.

Wszystkie podawane przez angielskich reformatorów środki i lekarstwa na to zło nic mają dla nas najmniejszego znaczenia, ponieważ stosunki nasze pod tym względem i, jak widzimy z powyższego, tylko pod tym są zasadniczo różne. Klęska jednak ma dużo cech wspólnych, ale my ratunku na nią musimy szukać w zasobach własnej energii i dobrej woli.

W. A.

POKŁOSIE

Rasowa anatomia ręki. Według J. Kollmana (*Arch. f. Anthr.*) bywają dwie postacie ręki — szeroka i wązka, zależne nie od zajęć, ale od rasy. Szerokość i wązkość występują: w stawie, dłoni, palcach i paznokciach. Na 100 Europejczyków 28 ma ręce wązkie, a 42 szerokie. Między budową szkieletu twarzy i ręki istnieje wyraźny związek. Szerokie lub wązkie twarze posiadają szerokie lub wązkie ręce — w okazach czystej rasy. Zdarzają się natomiast dość liczne mieszańce, w których występuje niezgodność tych cech.

Ostrzeżenie. Pruski minister oświaty wydał okólnik do kuratoryów uniwersyteckich, wzywając je, ażeby wobec szerzenia się chorób płciowych śród studentów, zaznajamiały młodzież z tem groźnem niebezpieczeństwem. Obok tedy specyalnych wykładów lekarskich mają być urządzane prelekcye filozofów i teologów (chyba socyologów?), poświęcone propagandzie ostrożności. Jest to sprawa nietylko pruska, lecz ogólno europejska. W każdym razie należałoby podjąć starania przeciwdziałające tej strasznej klęsce, która wzrasta ustawicznie i zabija tysiące ofiar lub rujnuje ich siły z okropnymi skutkami dla niewinnego i nieszczęśliwego ich potomstwa.

Wyludnianie się Norwegii przybiera zdumiewające rozmiary. Zwłaszcza młodzi ludzie tak tłumnie opuszczają kraj, że niektóre wsie są zupełnie ich pozbawione. Wyjeżdżają zaś nietylko biedni, ale względnie zamożni — wszyscy zaś dążą do Ameryki północnej. Szkoły techniczne stały się kantorami wychodźstwa, które dostarcza sił przemysłowi amerykańskiemu. Najlepiej uwidoczniają ten prąd cyfry: w r. 1902 wyemigrowało około 40,000 osób, w przeszłym — 50,000. Jest to jeszcze jedna przestroga dla starego świata, ażeby naśladować nowy.

Statystyka żydowska. Pierwszy tom wychodzącej w Berlinie pod redakcyą dr. Alfreda Nossiga *Jüdische Statistik* zawiera szereg artykułów i wykazów liczbowych, dających pełny obraz rozmieszczenia i stanu ludności izraelskiej na całym świecie. Dla nas ciekawym jest przyczynek, dotyczący naszego kraju. Według p. Wengierowa, Królestwo Polskie posiadało Żydów: w 1856 r. 563,000, w 1882 — 1,045,000 w 1893 — 1,224,000, w 1897 — 1,316,000. Rozdział tej masy według gubernij jest dość nierówny: najwięcej przypada (r. 1899) na gub. Warszawską — 438,168 i Piotrkowską — 200,246, najmniej zaś na Płocką — 71,211 i Kaliską — 97,288. Nierówność ta zależy od większej lub mniejszej ilości miast, w których głównie skupiają się Żydzi. Ze 114 miast Królestwa (r. 1893) w 66 stanowili oni przeszło połowę ludności, w Warszawie — $^1/_3$. Względnie najliczniej zamieszkiwali: Działoszyce — 87,4%, najmniej zaś Nieszawę — 11,5%. Po za 50% przeszli w 145 z 355 osad; z tych najliczniej zgromadzili się w Rykach (pow. Garwoliński), a najskąpiej w Glinianie (pow. Opatowski). Procentowo ludność żydowska wzrastała w następującym stosunku: w latach 1850—60 wynosiła 11% ogółu, w 1870 — 13,4, w 1882 — 14,09, w 1893 — 13,9, w 1897 — 14,01%. Według autora, płodność Żydów jest mniejsza, niż chrześcian, śmiertelność zaś równa, bo chociaż śród pierwszych więcej umiera dzieci, mniej za to osób dorosłych. W całem państwie rosyjskiem B. Goldberg określa cyfrę Żydów na 5,189,401, śród ogółu ludności, wynoszącej 126,368,827. W Galicyi (1900 r.) według A. Korkisa, ma być 920,320 Żydów. Na całym świecie — około 7 milionów.

O prawdę.

W szeregu numerów październikowych, listopadowych i grudniowych jednego z tygodników, wydawanych w Warszawie, w artykule p. t. „Kilka uwag o współczesnej popularyzacyi wiedzy" X. D. poddaje srogiej krytyce moją broszurkę popularną p. t. „Organizm jako społeczeństwo komórek," wydaną w „Bibliotecze dla wszystkich" przez p. Areta.

Tygodnik ów nie miał nigdy nic wspólnego z przyrodoznawstwem, X. D. zaś nie lubi ewolucyonizmu, jest wyznawcą zgasłej pamięci „siły życiowej"; te względy wystarczały, aby przejść nad ową „krytyką" w spokojnem milczeniu.

Lecz oto po wyczerpaniu przez wspomniane pismo całego rękopisu X. D., co nastąpiło d. 3 grudnia r. z., otrzymałem szereg listów z tych sfer, dla których owa „krytyka" była napisana, z prośbą o pewne rzeczowe wyjaśnienia, dotyczące tak mojej broszurki, jak i krytyki X. D.

Wobec tego pozwolę sobie skorzystać z łaskawie mi udzielonego miejsca na szpaltach *Prawdy*, by życzeniom wspomnianych osób zadość uczynić.

X. D. już na samym wstępie przywdziewa szatę uczoności (nienaukowym krytykom już i naiwni dziś wierzyć przestali); wprawdzie szata materyałem swym mocno przypomina owe dywaniki galgankowe, z kawałków różnobarwnych wszelakiej starzyzny zeszyte: dostrzedz tam można i szmatkę z poły Horacego, i wycinek z kamizelki Tyndala, i część rękawa Haeckla, i kołnierz Rohmera, i szmatkę z podszewki Lilienfelda, no i... nogawicę Goethego, a wszystko to dość misternie zszyte nitką jo-

wialności (dobry humor jest bardzo zdrowym stanem dla piszącego krytyka i przykuwa uwagę czytającego ogółu, nie wyłączając i... skrytykowanego autora).

W żadne polemiki z X. D. nie zamierzam tu wdawać się.

Dla krótkiej charakterystyki naukowej mojego „krytyka" zaznaczę tylko, że gniewa się na komórki (str. 694) i na budowę plazmy (str. 726), że tak mało wyjaśniły nam różne zagadki życiowe; prawi o „nieśmiertelności" i świadomości komórek (str. 726 i 761); krytykuje obliczenia geometryczne, wykazujące, dlaczego komórki nie mogą przekraczać zazwyczaj rozmiarów drobnowidzowych, obliczenia wskazane pierwotnie przez zmarłego Herberta Spencera, a cytowane następnie przez wielu biologów, jak Oskar Hertwig, Maks Verworn, Józef Nusbaum i inni, przez krytyka wszakże uważane za moje własne; zaleca natomiast obliczenie, ile razy powierzchnia kuli jest większą lub mniejszą od jej objętości (przypomina to owe przez pierwszoklasistę podjęte zadanie: o ile też to długość stołowych nog więcej *waży* od powierzchni fortepianu?).

Zamiast bezowocnych prostowań podobnych „krytyk," grzeszących nieznajomością elementarnych podstaw dzisiejszego przyrodoznawstwa, z większym daleko — jak sądzę — będzie dla interesujących się omawianą kwestyą pożytkiem, jeżeli wskażę, iż z wszelkimi stosunkami „międzykomórkowymi" najlepiej zapoznać nas mogą następujące dzieła: „Zelle und Gewebe" O. Hertwiga i „Allgemeine Physiologie" M. Verworna.

Ktoby zaś nie mógł korzystać z literatury obcej, temu zaleciłbym do przeczytania świeżo wydaną a bardzo dostępnie skreśloną książkę prof. Józefa Nusbauma: „Szlakami wiedzy" (Lwów, 1904). Tam znajdzie każdy szerokie uzupełnienie mojej miniaturowej broszurki i pośrednio — należytą ocenę krytyki X. D.

Kazimierz Kulwieć.

KRONIKA.

Choinkowe olbrzymy. Kilku studentów założyło w Warszawie sklep. Istniał on już od paru tygodni, gromadził przed swemi szybami mnóstwo gapiów i wewnątrz wielu kupujących, stał się przedmiotem rozmów towarzyskich — a my wcale o nim nie wspominaliśmy, czekając na wyjaśnienie ze strony jego twórców charakteru tego oryginalnego i zaciekawiającego przedsiewzięcia. Nareszcie wystąpił *Kuryer Codzienny* z pochwałą dla samopomocy studenckiej, która znalazła sobie nową drogę. Ponieważ sklep był publiczny, zaczęto o nim rozprawiać publicznie, więc i my uznaliśmy się w prawie i obowiązku poświęcenia mu publicznej wzmianki. I powiedzieliśmy, że jeśli on założony został z intencyą koleżeńsko-filantropijną, zasługuje na wielkie uznanie i poparcie; jeśli zaś jest osobistą spekulacyą kupiecką swych właścicieli, wydaje nam się niewłaściwem wyzyskiwanie przyciągającej siły munduru do takiego celu. Wyraziliśmy przytem zdanie, że dla uniknięcia nieporozumień prędzej czy później rolę munduru studenckiego za stołem sklepowym trzeba będzie wyjaśnić.

Zdawałoby się, że trudno zachować większą względność i ostrożność sądu. Otóż — nie! Naprzód odebraliśmy impertynencki list od pewnego studenta, karcący nas za to, żeśmy zaniedbali *interviewu*. Następnie *Gazeta Polska*, która wogóle wyznaje jakąś bałwochwalczą cześć dla rodzimych rekordzistów, obwieściła, ześmy „przybrali ton groźnej (!) powagi" i oskarżyli właścicieli sklepu o „zbrodnię społeczną," podkreśliwszy zarazem w naszej konkluzyi z tajemniczą miną słowo: *wyjaśnić*. Wreszcie *Kuryer Warsz.* powtórzył za nią to podkreślenie i dodał: „Zarówno wystąpienie *Niwy*, jak *Prawdy* maluje dosadnie naiwność i niedojrzałość poglądów niektórych odłamów naszej publicystyki na najprostsze sprawy społeczne."

Możnaby nie wierzyć własnym oczom, przeczytawszy, kto i komu daje lekcye „dojrzałości poglądów na sprawy społeczne," gdybyśmy tych nauczycieli poznali dopiero teraz. Ale my ich znamy oddawna. Są to mężowie, którzy wolne chwile od studyów nad *crepe de chine*, „pokryciami" Galtee-More a i skandalami całego świata przeznaczają na oświecanie narodu w najważniejszych kwestyach. Noszą oni zawsze z sobą stołeczek, na którym stają, ażeby przemawiając do kogoś, patrzeć na niego zgóry i sprawiać wrażenie wyższości. Gdyby tymi olbrzymami obwiesić choinkę, pod ich ciężarem nie zgięłaby się najsłabsza jej gałązka. Ale ta maleńkość nic a nic im nie przeszkadza uważać się za wyrwidęby i krzyczeć: z drogi, bo obijemy lasem!

Wiadomości społeczne. Przy Towarzystwie dobroczynności w Mińsku powstaje wydział ochrony dzieci przed surowem obchodzeniem się z niemi.

— L. hr. Tołstoj mianowany został członkiem honorowym Wolnego Tow. ekonomicznego w Petersburgu.

— Z d. 14 b. m. zaczęło obowiązywać prawo z d. 15 czerwca r. b. o wynagrodzeniu robotników za nieszczęśliwe wypadki w fabrykach i zakładach przemysłowych.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: Gazety żydowskie donoszą, iż syoniści rosyjscy posłali dr. Herzlowi do Wiednia ultimatum, żądając: 1) aby cofnął projekt kolonizacyi Ugandy; 2) aby dał zobowiązanie piśmienne, iż na przyszłość nie będzie na kongresie proponował innej kolonizacyi, prócz Palestyny; 3) jeżeli nie zgadza się na to, to niech złoży przywództwo syonizmu; 3) na razie kółka syonistyczne wstrzymują wysyłanie pieniędzy do Wiednia. Przeciw powyższemu ultimatum mieli zaprotestować syoniści z gub. Kijowskiej i z Królestwa Polskiego.

— Według spisu ludności z d. 14 stycznia 1903 r., Finlandya liczy 2,781,017 mieszkańców (1,377,585 mężczyzn i 1,403,432 kobiety); ludność miast wynosi 359,646, wsi 2,421,371 głów. W porównaniu ze styczniem r. 1902 ludność kraju wzrosła o 36,065 dusz.

— Od 6—9 b. m. trwała we Lwowie zmowa 700 piekarzy.

— W krakowskiej gminie ewangelickiej powstał zatarg między Niemcami a Polakami o język urzędowy w kościele; Polacy złożyli mandaty, żądając języka polskiego tak w gminie krakowskiej, jak we wszystkich, istniejących w Galicyi.

— Rząd norweski opracował projekt do prawa, według, którego kobiety, posiadające odpowiednie kwalifikacye, będą mogły zajmować posady w służbie państwowej, z wyjątkiem policyi, wyznań i wojsko[illegible]

— *Meissener Tageblatt* wzywa do zastosowania energicznych środków w celu powstrzymania napływu studentów zagranicznych do akademii handlowej w Lipsku. Na 100 studentów — pisze ten dziennik — jest 75 cudzoziemców: Norwegczyków, Szwedów, Duńczyków Rumunów, Czechów, a wśród tych 75 ¾ stanowią Rosyanie i t. zw. Polacy, tj. Żydzi najczystszej wody. Gdy się urzwi za tymi wszystkimi zamknie, to zdaje się człowiekowi, że za pomocą różdżki czarodziejskiej przeniesiony został na „daleki" Wschód. Dźwięk słów niemieckich jest tu rzadkością, a nawet w Warszawie słyszy się więcej rozmów niemieckich, aniżeli tutaj."

— W procesie z powodu zaburzeń wyborczych w Hucie Laury skazano redaktorów *Vorwärtsa*, Leida — na 6 miesięcy, Kaliskiego — 4 mies. i tydzień [illegible]

— Oddział wyszukiwania pracy dla ubogich przy W. T. D. przeniesiony został w środek miasta na ul. Smolną nr. 34 (telefonu 318).

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty, po rozpatrzeniu wniesionej skargi o odrzucenie przez [illegible] nauczycielki do szkoły ogólno kształcącej, początkowej, uznało, że nominacye takie w obrębie okręgu naukowego, warszawskiego zależne są od naczelnika odpowiedniej dyrekcyi, że w odrzuceniu podania o zamianowanie do szkoły nauczycielki zamiast nauczyciela nie ma nic przeciwnego ustanowionym przepisom. Przytem jednak ministeryum nadmieniło, że oddawanie pierwszeństwa nauczycielom przed nauczycielkami uznać należy za niepożądane. (*Gaz. Pols.*).

— Ministeryum oświaty odmówiło pozwolenia na urządzanie lekcyj dla osób dorosłych w szkołach przeznaczonych dla dzieci.

— W salach rysunkowych przy Muzeum rzemiosł rozpoczęły się zapisy nowych kandydatów na drugie półrocze i trwać będą do d. 1 lutego r. b.

— **Wiadomości naukowe.** Warszawskie Tow. ogrodnicze ogłosiło konkurs na treściwy i wyczerpujący „Opis hodowli roślin w mieszkaniu," opracowany na podstawie biologicznej, a mający służyć do rozbudzenia w młodzieży zamiłowania do przyrody i spostrzeżeń nad życiem roślinnem. Nagroda 50 rb. za pracę, obejmującą 2 arkusze druku. Termin do 1 kwietnia roku bież.

— Podczas X-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie, urządzona będzie od 20 czerwca do 24 lipca r. b. wystawa specyalna w połączeniu z hygieniczną.

Zdrowie publiczne. W lecznicy pasteurowskiej dr. Palmirskiego w Warszawie leczyło się w roku ubiegłym 1,390 osób, pokąsanych przez zwierzęta wściekłe.

— W celu zapobieżenia katastrofom w kopalniach węgla i dawania szybkiej pomocy robotnikom w wypadkach, zarząd zachodniego okręgu górniczego ma się zająć organizacyą pogotowia ratunkowego, które ma być utworzone z doświadczonych robotników, przyzwyczajonych do robót podziemnych przy wytwarzaniu się gazów trujących.

Literatura i prasa. W Paryżu pojawił się pierwszy numer *Le Sahara*, organu urzędowego Jakóba Lebaudy „cesarza Sahary," który w artykule wstępnym oświadcza, że wobec ciągłego gwałcenia przez rząd francuski praw osobistych, postanowił utworzyć dla zwolenników swoich nową ojczyznę.

Ze sztuki. Warsz Tow. artystyczne ogłosiło konkurs na afisz reklamowy fabryki czekolady E. Wedla z dwiema nagrodami — 200 i 100 rb.; termin do 20 lutego r. b.

Sprawy ekonomiczne. Od 14 b m. w gub. Warszawskiej wprowadzona zostaje bezpłatna pomoc weterynaryjna, której udzielać będą weterynarze powiatowi i miejscy. Koszta tej pomocy ponosić będzie skarb [illegible]

— Rada warszawskiego oddz. popierania ros. przemysłu i rolnictwa w myśl życzenia wielu poważnych jednostek, interesujących się ruchem ekonomiczno-współdzielczym, postanowiła utworzyć specyalna delegacyę do spraw tego rodzaju. Do składu delegacyi weszło 13 Tow. wzajemnego kredytu, 53 Tow. pożyczkowo-oszczędnościowych, 4 Tow. kredytowe i 7 spożywczych. Materyał, jakiego dostarczyły te towarzystwa, był w ciągu 2 dni (9 i 10 b. m.) przedmiotem obrad pierwszego posiedzenia delegacyi, która jednocześnie zorganizowała się, tworząc trzy oddziały spe[illegible]

— Według wykazów Banku włościańskiego, rozparcelowano w r. 1901 w dziesięciu gub. Królestwa Polskiego 74,573 morgi na ogólną sumę 7,140,296 rb. Najwięcej przypada na gub. Warszawską, bo 16.203 m., następnie Lubelska — 11,816, Kaliska — 10,688 m., Kielecka — 10,035 m., Piotrkowska — 9,678 m., Radomska — 7,132 m., Siedlecka — 5,063 m., Płocka 3,342 m., Łomżyńska 380 i Suwalska — 236 m.

— Bank włościański odmawia pożyczek włościanom z gub. Kieleckiej na kupno tych gruntów, których właściciele, korzystając z ruchu parcelacyjnego, [illegible] nieśli cenę do nienormalnej wysokości.

— *Praw Wiest.* ogłasza, że rząd rosyjski zawarł ze Szwajcaryą umowę, na mocy której towarzystwa handlowe, przemysłowe i finansowe, tak akcyjne, jako też inne, działające w jednym z tych państw na mocy praw obowiązujących i należycie urządzone, będą wzajemnie uznane za prawnie istniejące, czyli będą [illegible] powodowie i jako pozwani.

— W lutym r. b. odbędzie się w Brukselli międzynarodowa wystawa spożywcza, która obejmie wszystko, co wchodzi w zakres stołu lub kuchni.

Koleje i Komunikacye. Ustanowiono opłatę dodatkową do biletów osobowych za miejsca numerowane (plackarty) w wysokości 1 rb 50 kop. w kl I i II, a 75 kop. w kl. III, która pobierana będzie oddziel-

nie na rzecz każdej kolei, zaś od 14 lutego za sześć dystansów w komunikacyi bezpośredniej.

— Na kolejach Nadwiślańskich wydano rozporządzenie, ażeby młodzieży szkolnej, jeżdżącej z okolic podmiejskich, w kl. III oddawano osobne przedziały tak dla chłopców, jak dla dziewcząt.

Poczta. Na stacyach pocztowych Ryki w gub. Siedleckiej i Pików gub. Podolskiej rozpoczęto przyjmować korespondencyę telegraficzną, na pierwszej — wewnętrzną na drugiej — międzynarodową.

Katastrofy. Na Kaukazie, w kopalniach nafty Botkina, wybuchł zbiornik, zawierający 75,000 pudów nafty i rozlał się płomieniem w około. Z kilkudziesięciu ludzi, znaleziono tylko zwęglone kości.

— Pod Willard, na linii kolejowej Chicago-Rock-island wpadły na siebie dwa pociągi osobowe—kilkadziesiąt osób zabitych.

Zmarli. Marinoni, założyciel paryskiego *Petit Journal'a*, wynalazca pras rotacyjnych. Rozpoczął karyerę w Paryżu jako ubogi zecer, umierając w 80 roku życia zostawił 50 mil. fr.

— Feliks Kanitz, badacz krajów bałkańskich, w Wiedniu.

NADESŁANE.

Zadanie do nagrody.

(Kartka z naszych stosunków literackich).

Księgarz krakowski, p. Friedlein, za pośrednictwem wybitnego dziennikarza i redaktora krakowskiego zamówił u mnie w maju r. 1902 studyum biograficzno-krytyczne o życiu i działaniu Tołstoja. Ofiarowywano rb. 50, żądano pośpiechu (wielki pisarz zapadł był właśnie na poważną chorobę). Przesiedziałem lald dniem i nocą i po ośmiu dniach mogłem już telegrafować: „rękopis wysłany.“ Półtora roku przeszło od wysłania rękopisu. Praca nie ukazywała się w druku. (Tołstoj szczęśliwie powrócił do zdrowia). W ciągu tego czasu, w listach do wspomnianego dziennikarza, z którym łączą mnie przyjacielsko-literackie stosunki, zapytywałem przy okazyi dwakroć, czemu p. F. nie nisyła honoraryum za pracę umówioną, z drukiem której zwleka z niewiadomej mi przyczyny. Otrzymałem przy okazyi odpowiedź, że honoraryum przekracza wobec rozmiarów pracy rb. 50, więc może być — według twierdzenia p. Friedleina — obliczone dopiero po wydrukowaniu pracy, co nastąpi „wkrótce.“ (Dlaczego *minimum* nie przesłano?). Tak upłynęło prawie pół roku.

Niedawno dowiedziałem się przypadkiem od prof. Baudouin'a de Courtenaya, że książka moja „Życie i dzieła“ Tołstoja, zawierająca około 140 stronic druku wyszła nakładem księgarni Friedleina przed sześciu tygodniami. Rekomendowanym listem z dnia 29 października (11 listopada), zwróciłem uwagę p. Friedleina na to, że uległem dotąd złudzeniu, iż w Europie istnieją trzy zwyczaje: 1) że uwiadamia się autora o wydaniu jego książki; 2) że przesyła się autorowi książkę; 3) że płaci się honoraryum. List mój P. Friedlein przemilczał. Po miesiącu 25 listopada (8 grudnia) posłałem depeszę, charakteryzującą postępowanie p. Friedleina. W odpowiedzi — znowu głuche milczenie. Do dnia dzisiejszego *ani listu, ani książki, ani honoraryum.* A od wydania książki upłynęło *trzy miesiące!*

Uważam to za tak interesującą zagadkę, do takiego stopnia nie jestem w stanie sam jej rozwiązać, że pragnę urządzić maleńki konkurs, aby znaleźć pomocników do rozwiązania. W tym celu oświadczam, że zrzekam się honoraryum za studyum o Tołstoju na rzecz tego, kto w ciągu dwóch tygodni nadeśle do Redakcyi *Prawdy* najlepsze wytłomaczenie *całokształtu* postępowania p. Friedleina, wykluczające *przykre* dla p. Friedleina tłomaczenia — nieprzyzwoitością, bo takie domniemanie już i mnie samemu przychodziło do głowy, skorom telegrafował p. F.: „uważam Pańskie postępowanie za bezwstydnie nieuczciwe.“ Redakcyę *Prawdy* upraszam, aby przyjęła rolę sędziego w tym konkursie. P. Friedleina upraszam aby sumę, którą jest mi dłużny, wysłał do Redakcyi *Prawdy*. Gdyby jej nie przesłał, wygrywającemu na konkursie ustąpię wszystkie moje prawa względem p. Friedleina jaknajformalniej. *P. Friedleina z konkursu nie wykluczam.* Jeżeli zdoła się wytłomaczyć ze swego postępowania i tłomaczenie jego uzna Redakcya *Prawdy*, którą obieram na sędziego honorowego, za dostateczne — honoraryum zrzekam się — na jego korzyść.

Całą bowiem tę kwestyę wyprowadzam na widok publiczny nie ze względów materyalnych, osobistych, ale dlatego, że oburza mnie taki stosunek do ludzi pióra i mam więcej w zanadrzu powodów, aby uważać fakt opisany tylko za jaskrawszy wyraz pewnej dosyć ogólnej zasady w stosunkach do ludzi, ciężko pracujących na chleb piórem!..

Leo Belmont.

Janina Piotrowska.

(wspomnienie pozgonne).

I znów wyrosła świeża mogiła, rodząc ból i żal, żal — po kim? Wybitnym mężu, uczonym, działaczu? Nie, — po skromnej pracownicy, lecz dobrym zacnym a przedewszystkiem bardzo, bardzo czującym człowieku, — żal młodego istnienia, które, co mogło i jak mogło, lecz zawsze chętnie i bez wahania składało na ołtarzu dobra nie dla poklasku, nie dla ambicyi — lecz dlatego, że inaczej żyć nie chciało, nie umiało, bo w jego sercu święty ogień gorzał...

Zmarła przedcześnie, bo w 23 roku życia, Janina Piotrowska należała do tego nielicznego dziś typu nauczycieli, istot, jak gdyby „nie z tego świata,“ dla których nie istnieje tryumfujący realizm dnia, a które działają, jak promienie słońca... Cześć jej pamięci! **Kb.**

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Января 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.